Nr. 48. Poznań, dnia 2 Grudnia 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

# PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 35. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

## S. p. Najprzewielebniejszy Ks. Arcybiskup Dr. Floryan Stablewski
### herbu Oksza
### Prymas Polski.

W skołataną pierś społeczeństwa naszego nowy ugodził cios. Podobało się Bogu zabrać z pośród nas największego z dostojników polskich, następcę arcybiskupów gnieźnieńsko-poznańskich i prymasów Polski — Najprzewielebniejszego Ks. Arcybiskupa **Floryana Stablewskiego.**

Nad świeżą stoimy mogiłą — wieje z niej na nas chłód, zimno i obojętność na znikomości i sprawy tego świata. Ten, który był sternikiem tysięcy dusz w zwątpieniach i ciemnicach tego świata, który był sternikiem wiary św., że za grobem lepszy czeka nas żywot, który był sternikiem rozległej archidyecezyi — on możny i wielki tego świata legł w grobie.

Już nie podniesie się dłoń jego błogosławiąca wiernych, nie rozbrzmi głos ani ku upomnieniu grzeszników ni ku utrwaleniu chwiejących się w wierze ani ku pochwale chodzących „ścieżkami żywota wiekuistego". Umarł — i nie powstanie już więcej.

Osieroceni my, a osierocenie to tem boleśniejsze, że chwile, które przeżywamy, tak bardzo są doniosłe, że tak bardzo trzeba nam było głosu umacniającego nas w wierze, że przeminą te burze, które nami miotają...

Podobało się Bogu, ażeby głos ten zamilkł na wieki...

Ale grób ten tem głośniej przemawia do nas. Wszak to w grobie tym spoczywa ten, którego życie całe było zmaganiem się z przeciwnościami mu sprawianemi, było walką nieustającą tem cięższą, że podwójną, bo: walką z własną niemocą i walką z przemocą obcą.

Od szeregu lat ciężkie cierpienia przykuły go do łoża boleści. Ale rząd nie miał litości nad temi cierpieniami, chory i osłabiony miał być narzędziem w jego rękach, którego użyć pragnął do nienawistnych swych celów osławionej antypolskiej polityki.

I udało się rządowi rzucić **kość niezgody** pomiędzy lud polski i katolicki i jego Arcypasterza ś. p. N. ks. Stablewskiego. Nadużywając swej władzy i zręcznie wyzyskując niemoc dostojnika kościoła naszego — wymusił na bezsilnym i chorym niejedno ustępstwo, którego nieszczęśliwy nieboszczyk przy czerstwem zdrowiu i sile niebyłby zrobił.

Za ustępstwa te burzył się lud, burzył się i bolał szczerze nad swojem i pasterza swego nieszczęściem. Ale Bóg okazał się dla obu łaskawym. Przed śmiercią pogodził arcypasterza z ludem, a zgoda to tem silniejsza i trwalsza, że wśród ciężkiej zawarta walki, walki o prawa kościoła i ludu.

Dał jeszcze Bóg zdrowie i siły ś. p. N. Ks. Arcybiskupowi, aby przed śmiercią okólnikiem w obronie wiary ludu dokonał dzieła zgody, ażeby pojednał ze sobą wiernych, ażeby ziściło się biblijne przyrzeczenie o „jednej owczarni i jednym pasterzu".

Pojednany więc z ludem, który w ostatnią chwilę życia jego z niezmiernem ku niemu spoglądał zaufaniem, zeszedł z tego świata N. Ks. Arcybiskup Stablewski.

Wielka to chwila w dziejach naszych porozbiorowych. Kto wie, jakie czekają nas jeszcze burze; Opatrzności więc dziękujemy, że w harmonii i zgodzie ze swym wiernym ludem zeszedł z tego świata ostatni ten może Polak na tronie arcybiskupim archidyecezyi naszej. Harmonia ta i zgoda, to dowód jedności i harmonii ludu z kościołem, gdy kierownikami tego kościoła są synowie z jego krwi i kości.

**Cześć też zmarłemu, cześć stokrotna za to,** że jedności tej między sobą i nami dokonał, cześć za to, że pokazał nam drogę jasną obrony wiary św. Przyrzeknijmy mu na cześć prochów jego, że z drogi tej nie zejdziemy. Tak nam Boże dopomóż, a Jemu daj światło wiekuiste.

# Z życia
## ś. p. N. ks. arcybiskupa
# Dr. Floryana Stablewskiego.

W sobotę, dnia 24 listopada r. b. wieczorem o godz. $^1/_2$10 zasnął cicho i spokojnie snem wiekuistym ś. p. nasz najukochańszy ks. arcybiskup Stablewski.

Śmierć zaskoczyła go nagle i wręcz niespodziewanie. Wprawdzie już od dłuższego szeregu lat walczył on z ciężką chorobą; chwilami nawet zmuszała ona go do usuwania się od obowiązków i zajęć swego urzędu; raz już nawet z powodu tej choroby liczono się poważnie z możliwością rychłego zgonu; w ostatnim atoli czasie tak znaczne w stanie jego zdrowia nastąpiło polepszenie, że zdawało się, iż czyhająca na opróżnienie stolicy św. Wojciecha hakata pruska, zmuszona będzie w dłuższą uzbroić się cierpliwość. Przed kilku jeszcze dniami zmarły arcybiskup przyjmował deputacyę włościan polskich z wszystkich stron Księstwa. Przybyła ona mu złożyć podziękowanie za stanowisko, zajęte w sprawie strajku szkolnego. W odpowiedzi danej tej deputacyi, ś. p. ks. Stablewski zapewniał uroczyście, że dalej bronić będzie polskiego języka w szkole i kościele. Tymczasem w dwa dni później znaleziono go martwego w gabinecie.

### Ostatnie chwile życia.

W sobotę rano odwiedzili ks. Arcybiskupa lekarze pp. dr. Panieński i dr. Fr. Chłapowski. Stwierdzili, że stan jego zdrowia nie jest co prawda zupełnie zadowalniający, ale że nie daje powodu do obaw. Katastrofy bliskiej wcale nie przewidywali. W ciągu dnia nie zaszła zmiana. Arcybiskup jadł z apetytem, tylko uczuwał znużenie. Po południu jak zwykle, przespał się, poczem czuł się wzmocniony. Wieczerzę spożył znowu z apetytem, po której napisał kilka listów do biskupów galicyjskich, od których odebrał gremialne oświadczenie z uznaniem za mężne wystąpienie w sprawie nauki religii w języku ojczystym. Rozmawiał żywo ze swojem otoczeniem. Po napisaniu listów zasłabł nieco i około 9 godz. usiadł w swoim wózku, w którym go zwykle wożono. Otoczenie opuściło go na krótki czas. O wpół do 10 jeszcze rzekomo spał, ale zaczęto go wozić po salonie. Ponieważ wcale się nie ruszał, przywołano księdza kapelana Łukomskiego, który ubolewał, że Arcypasterz nie będzie mógł spać w nocy. Zaczęto Arcypasterza budzić, ale nadaremnie. Czemprędzej posłano po radcę Panieńskiego, który stwierdził śmierć skutkiem udaru sercowego.

### Życiorys.

Sp. *Floryan Stablewski* urodził się 16-go października r. 1841 w mieście *Wschowie*, jako syn właściciela dóbr, oficera wojsk napoleońskich, Józefa Stablewskiego. Poświęciwszy się studyom teologicznym, wyświęcony w młodym wieku na kapłana, pierwsze dowody sumiennego pojmowania obowiązków swoich dał jako wikaryusz podczas epidemii cholery r. 1866 w *Tarnowie* pod Poznaniem. Mianowany następnie katechetą przy gimnazyum w *Śremie*, okazał wybitne zdolności wychowawcze. Na tem stanowisku miał pierwszy zatarg z rządem pruskim. Gdy w roku 1873 zniesiono polski wykład religii w gimnazyach, ks. Stablewski oświadczył stanowczo, że w języku niemieckim polskim uczniom religii wykładać nie będzie — i za ten opór złożony został z urzędu. To zwróciło uwagę ogółu na młodego kapłana. Już w roku 1876 wybrany został *posłem* do Sejmu pruskiego, następnie także do parlamentu niemieckiego, a w obu tych ciałach rychło, dzięki doskonałej swej wymowie, zdobył sobie poważne stanowisko. W tym czasie otrzymał probostwo w słynnej dziś *Wrześni*, a w roku 1889 godność protonotaryusza papieskiego. Rok 1891 przyniósł mu niespodzianie godność arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego — i na tem stanowisku pozostał do śmierci. W piśmiennictwie teologicznem pozostawia on po sobie zbiór kazań i rozprawę o św. Piotrze Chryzologu.

### Działalność

śp. ks. Arcybiskupa Stablewskiego na szerokiej politycznej arenie podzielić trzeba na dwa główne okresy, okres *poselski* i okres *biskupi*. W pierwszym cieszył się on z wyjątkiem ostatniego roku zupełnem uznaniem ogółu polskiego, w drugim często spotykał się z ostrą krytyką i ciężkimi zarzutami.

### Jako poseł

rozpoczął ś. p. ks. Arcybiskup działalność swoją szczęśliwym zbiegiem okoliczności — tą samą walką, którą toczyć musiał w ostatnich dniach swego życia, walką o polski wykład nauki religii. W r. 1877 wybrany został mówcą Koła polskiego do uzasadnienia dotyczącego tej sprawy wniosku. Krótko po tem ponownie zabrał głos w sprawach szkolnych i w świetny sposób wykazał okropność systemu pruskiego, tłumiącego w dziatwie polskiej rozwój umysłu i serca. I odtąd już nieprzerwanym ciągiem rozbrzmiewały tak w sejmie jak i w parlamencie mowy jego w obronie praw ludności polskiej, które gdyby zebrano je kiedyś, zapełniłyby sporą liczbę tomów, a zarazem byłyby ważnym przyczynkiem do dziejów naszych w tym okresie. Wszystkie odznaczały się nietylko gorącem uczuciem narodowem, lecz także wielką odwagą i stanowczością. W dziedzinie szkolnej nie ograniczał się on przytem bynajmniej do kwestyi nauki religii, lecz zawsze, szczególnie w mowie wypowiedzianej w r. 1881, domagał się przywrócenia wykładu polskiego we wszystkich przedmiotach naukowych i we wszystkich szkołach, i to nietylko w Wielkopolsce i Prusach zachodnich, lecz także na Śląsku.

Obawa, wyrażona przez ks. Stablewskiego w jednej z mów w r. 1884, iż „pruski strach przed Polakami ze stanu chwilowego zamieni się na stan stały'' rychło spełnić się miała. Już rok następny przyniósł społeczeństwu polskiemu dalsze ciosy w postaci barbarzyńskich tłumnych wydalań Polaków z innych zaborów a rok 1886 ustawę wyjątkową o komisyi kolonizacyjnej, której cele każdemu dobrze znane. W walce przeciwko tym ustawom ks. Stablewski był jednym z głównych szermierzów Koła polskiego. W mowie wygłoszonej 28. stycznia tego roku nazwał on wywody Bismarcka „grobem wolności, humanizmu i zasad chrześciańskich'' — co wywołało wielkie oburzenie na ławach stronnictw rządowych, a w kilka dni później odwoływał się do sumienia *Europy*. Gorący poklask całego społeczeństwa polskiego znalazła mowa ks. Stablewskiego, wypowiedziana w roku następnym, w której rzucił w twarz Bismarkowi pamiętne słowa: „Możecie nam wyrządzać wiele złego, możecie i nadal naigrawać się z męczarni żyjącego organizmu, możecie całe pokolenia zmarnować duchowo, zrujnować materyalnie, — *lecz zniszczyć nas nie jesteście w stanie*''. I na tem stanowisku wiary w niepokonaną siłę żywotną społeczeństwa swego ks. Stablewski jako poseł stał do ostatniej chwili.

### Jako biskup.

Po śmierci cesarza Wilhelma I i krótkich rządach Fryderyka III wstąpił na tron niemiecki panujący obecnie cesarz Wilhelm II. I zdawało się przez chwilę, że w ucisku żywiołu polskiego w zaborze pruskim nastąpi pewna ulga. Było to złudzenie, które

rychło rozwiać się miało, lecz złudzeniu temu uległo wówczas wielu wybitnych polityków naszych, między innymi i ks. *Stablewski.* Rozpoczęła się t. zw. era polityki ugodowej, bezowocna a szkodliwa dla żywiołu polskiego. Jedynym jej pomyślniejszym rezultatem był fakt — że po śmierci ks. Dindera, Niemca, na stolicę św. Wojciecha powołano znów *Polaka.* A był nim właśnie ks. *Stablewski.* On sam utorował sobie drogę do tej godności. Na ogólnym wiecu polsko-katolickim w Toruniu r. 1891 wygłosił mowę, w której w zamian za ustępstwa — przyrzekał Niemcom pomoc polską przeciwko poważnionej wówczas z Prusami *Rosyi.* Mowa ta spotkała się z ostrą krytyką jako zbyt daleko posunięty objaw lojalności. Lojalnością tą nacechowane były także pierwsze lata rządów nowego arcybiskupa i długich dopiero lat walki i prześladowań było potrzeba, aby pozbył się on swych złudzeń. Jeżeli atoli ks. Stablewski zawiódł się na polityce i uczuciach Wilhelma II, to i władca niemiecki doznał zawodu co do działalności nowego arcybiskupa, od którego w niebywale ostentacyjny sposób odebrał po nominacyi przysięgę wiernopoddańczą. *Śp. ks. Arcybiskup Stablewski za narzędzie germanizacyi nigdy nie pozwolił się użyć.*

Nie będziemy tu rozbierali obszernie 15-letnich jego rządów w archidyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej, wobec oblicza śmierci, wyróżnimy tylko zasługi zmarłego. Otóż przyznać trzeba, że bronił on, zwłaszcza w ostatnich latach polskości kościołów swej dyecezyi w sposób energiczny. Wszelkiemi siłami opierał się wprowadzaniu do nich niemieckich nabożeństw, gorąco popierał kleryków i młodych kapłanów, odznaczających się chęcią pracy na niwie narodowej i społecznej, czynił co mógł, aby złagodzić ostrze coraz to nowych ciosów rządu. Umiał on probostwa obsadzać księżmi polskimi, a w ostatnich chwilach, gdy powstał strajk dziatwy polskiej — zajął stanowisko godne prymasa polskiego.

Nienawiść, jaką tem ściągnął na siebie ze strony rządu i hakaty zamieniła ostatecznie lata jego życia na ciężkie pasmo męczeńskie. Gdy przed niedawnym czasem pewna deputacya żądała od niego jeszcze ostrzejszych środków obronnych, ks. Stablewski odpowiedział: „Osobiście każdej chwili gotów jestem pójść do Ostrowa, (gdzie w więzieniu trzymano ks. Ledóchowskiego), lecz cóż zyskałaby przez to sprawa?“ Łatwo atoli być może, że jego rządy arcybiskupie byłyby się skończyły w Ostrowie, gdyby śmierć nagle nie była przecięła pasma jego życia.

Największą zasługą jego rządów arcybiskupich jest, że pozostawił on duchowieństwo polskie w dyecezyi swej *dobrze zorganizowane i przejęte gorącem poczuciem patryotycznem.* A to jest ważnym czynnikiem w toczącej się walce i już z tego powodu należy się zmarłemu biskupowi — u ogółu polskiego *wdzięczne wspomnienie.*

# Fundusz
## im. ś. p. Najprzewielebniejszego ks. arcybiskupa
# Dr. Floryana Stablewskiego.

Odbieramy następującą odezwę:

Zebrani na dniu dzisiejszym obywatele miasta Poznania uchwalili dla uczczenia pamięci naszego nieodżałowanego, w Bogu spoczywającego śp. ks. Arcypasterza *Dr. Floryana Stablewskiego* zbierać fundusz: *Na stałe popieranie nauki języka ojczystego dla dziatwy polskiej.*

Wybrany w tym celu niżej podpisany komitet, który do grona swojego poprosi większą liczbę osób ze wszystkich sfer, odzywa się niniejszem do całego społeczeństwa polskiego z gorącą prośbą o składanie dobrowolnych ofiar na wzniosły ten cel, albo do rąk skarbnika komitetu ks. prob. Kościelskiego (Poznań św. Wojciech 13) albo do redakcyi pism polskich, które składki te łaskawie przyjmować zechcą.

*Poznań*, dnia 26. listopada 1906.

Adam *Woliński*, przewodniczący.
Dr. Fel. *Niegolewski*, sekretarz.
Ks. Bolesław *Kościelski*, skarbnik.
Stefan *Cegielski*, Stefan *Chociszewski*,
prof. dr. Antoni *Drygas*,
dr. Zygmunt *Dziembowski*,
Zygmunt *Marweg*, Jan *Paczkowski*,
dr. Józef *Pomorski*,
Celestyn *Rydlewski*, dr. Maryan *Seyda*.

Zaiste! — myśl powzięta przez obywatelstwo miasta Poznania nie tylko godna pochwały ale i jak najszerszego poparcia.

Otwieramy przeto na fundusz im. ś. p. ks. arcybiskupa Stablewskiego stałą rubrykę, w której kwitować będziemy składki do nas płynące. Do Czytelników i Przyjaciół naszych zwracamy się równocześnie z gorącą prośbą, ażeby co mogą dawali, i gdzie mogą, starali się o datki na ten fundusz w tej myśli, że istotnie niewyczerpanych potrzeba nam zapasów na obronę języka naszego nie tylko sił — ale i pieniędzy.

Rodacy! — pamiętajcie: Kto szybko daje — dwa razy daje.

# Skład kapituł
## poznańskiej i gnieźnieńskiej.

Wobec faktu, iż w najbliższych trzech miesiącach po zgonie Najprzew. ks. Arcybiskupa obie kapituły zobowiązane są przedstawić królowi pruskiemu listę sześciu kandydatów na osierocony tron arcybiskupi, podajemy dzisiaj nazwiska członków tego dostojnego grona.

## Kapituła:

| poznańska | gnieźnieńska |
|---|---|
| **biskup** | **biskup** |
| 1. Dr. Likowski Edw. | 1. Andrzejewicz Ant. |
| **kanonicy zwyczajni** | **kanonicy zwyczajni** |
| 2. Dalbor Edmund | 2. Dorszewski Kaźmierz |
| 3. Dombek Piotr | 3. Goebel Roman |
| 4. Echaust Julian | 4. Jasiński Wiktor |
| 5. Jedzink Paweł | 5. Kloske Gwilelm |
| 6. Klinke Karol | 6. Kretschmer Leon |
| 7. Meszczyński Wład. | 7. Spors Jan. |
| 8. Tetzlaff Teofil | |
| 9. Wanjura Gustaw | |
| 10. Weimann Robert | |
| **kanonicy honorowi** | |
| 11. Friske Marcin | |
| 12. Poniński Alfred | |
| 13. Samberger Robert | |
| 14. Dr. Tasch Józef | |

Zważywszy że w powyższej liczbie 21 członków kapituły plenarnej ilość Polaków równoważy się ilości Niemców, trudno dziś przewidzieć, jakich kandydatów kapituła umieści na liście do monarchy. Kandydaci postawieni powinni wedle odnośnych przepisów „nie być niesympatyczni monarsze“. Jeżeli monarcha z dwa razy prezentowanej mu listy nikogo nie potwierdzi, wówczas następuje wybór arcybiskupa jedynie za porozumienie się Papieża i monarchy tak jak się działo przed laty 15-tu przy oborze ś. p. zmarłego Arcybiskupa.

# Dwa kochania.

Dwa kochania mam na świecie
Dwa ogniwa w życiu swojem,
Dwa kochania, jako kwiecie,
Lśnią nad życia mego znojem.

To są gwiazdy me przewodnie,
Które w noce ciemne płoną,
By me stopy szły swobodnie
W przyszłość mrokiem osłonioną.

Dwa kochania wziąłem z sobą,
Bez nich zostałbym nędzarzem,
Światby okrył się żałobą,
Świat by mi się stał cmentarzem.

Jakież to są dwa kochania?
Serce me do nich się przyzna
Mimo gromów i błyskania,
To są: *Wiara i Ojczyzna!*

*Ks. Adam Maciejowski.*

# Procesy bez końca.

Szanowni Czytelnicy!

„Praca" rzadko odzywa się do Czytelników swoich z troskami i kłopotami swoimi. Każdy ma ich dosyć dla siebie, pocóż zaprzątać mu jeszcze głowę cudzemi?

Niestety! — nadeszła chwila, w której smutna konieczność zmusza nas odwołać się do pomocy wszystkich Czytelników i zwolenników naszych.

Wiecie, Bracia, że jeden redaktor, p. *Maciej Wierzbiński* za sprawę narodową, za obronę tej sprawy na łamach „Pracy" cierpi półtoraroczną kaźń więzienną, wiecie też, że drugi redaktor „Pracy," p. *Idzi Świtała* skazany już został na miesiąc więzienia. Ale tego nie dość — p. Idzi Świtała ma *jeszcze* 3 procesy o sprawę szkolną i 3 za inne artykuły — razem więc jeszcze 6 procesów.

Jaki będzie ich koniec?

Jedno nie ulega wątpliwości, że ciągłe procesy, ciągłe koszta i kary, ciągłe więzienia i najlepiej uposażone pisma do ruiny mogą doprowadzić. A cóż dopiero powiedzieć o pismach, które od założenia swego, przez lata całe nie tylko nie odrzuciły *ani grosza zysku*, lecz na nieustanne ulepszenia — *tysiące i dziesiątki pochłonęły tysięcy!?*

W takiem położeniu jest „Praca." Ani pierwotny jej właściciel, powszechnie znany i szanowany p. *Marcin Biedermann*, ani obecni właściciele z „Pracy," nie wyciągnęli ani grosza zysku, lecz rok rocznie dokładają na jej podtrzymanie tysiące marek. Stan ten obecne procesy muszą jeszcze pogorszyć?

Cóż mamy w takiem położeniu zrobić? Gdybyśmy „Pracę" zwinęli zrobionoby nam zarzut, że nie wyczerpaliśmy wszystkich środków i sposobów na jej podtrzymanie, że *nie agitowaliśmy* dostatecznie za powiększeniem liczby abonentów.

Czy prawda to?

Bracia! — przecież nie podobna nieustannie i w każdym numerze krzyczeć i wołać: „abonujcie „Pracę!" — jednajcie nam *nowych* czytelników! — niech każdy Czytelnik jednego choć zjedna nam abonenta! — Takie nawoływania wywołują tylko niesmak i niechęć. Nam atoli zależy na tem, ażeby Czytelnicy nasi „Pracę" brali do ręki z radością, z ochotą, żeby czytanie „Pracy" sprawiało im przyjemność, podnosiło ich na duchu, krzepiło.

Dla tego nie krzyczymy wciąż. Kiedy jednak obawa o przyszłość zmusza nas do tego, kiedy widoki z powodu procesów obawę tę potęgują — wprost zmuszeni jesteśmy zawołać do Czytelników naszych:

Bracia! — bądźcie Wy naszymi agitatorami! To nie dość samemu abonować pismo, nie dość samemu je czytać, trzeba starać się *namówić* znajomych i przyjaciół, żeby i oni pismo to zaabonowali.

Zalecać Wam „Pracy" chyba nie potrzeba. Kto kiedykolwiek ją wziął do ręki, musiał przekonać się, że: zdrowy wieje z niej duch narodowy, że silna przez nią przemawia nadzieja w lepszą przyszłość, że wierzy w rozwój i postęp narodu polskiego, a tem samem i lepszą dolę.

Tę nadzieję i tę wiarę wśród rozhukanych przeciwko nam burz trzeba nam zachować — bez nich ostaćbyśmy się nie mogli.

Tę nadzieję i wiarę w połączeniu z miłością gorącą do sprawy polskiej w pierwszym rzędzie krzewić muszą pisma polskie. „Praca" do nich zawsze należała i należeć będzie.

„Praca" spełnia więc to najważniejsze swoje zadanie mimo ciosów, które godzą w nią samą, — ale dla tego właśnie pomódz jej winien lud, pomódz jej winni Czytelnicy, którzy ją znają, żeby ciosy te przetrwała i burze.

Bracia! pomożecie nam najlepiej w ten sposób, że zjednacie nam nowych Czytelników. A czas teraz do agitacyi dobry, ruch w towarzystwach ożywiony, zima, więc czas do czytania — nadchodzi Boże narodzenie; przygotowujemy na ten dzień wspaniały *podwójny* numer. Każdy więc, kto zjedna nam nowego abonenta, zjedna sobie jego wdzięczność — a nam doda otuchy do dalszej niezmordowanej pracy na niwie narodowej.

Bracia! — pamiętajcie o wezwaniu naszem: *Każdy niech nam jednego tylko zjedna abonenta!*

---

# Feljeton warszawski.

(Własna korespondencya „Pracy").

**Warszawa**, 24-go listopada.

Gdyby kto zbytnio chciał brać do serca wiadomości dzienników o położeniu w Warszawie, powziąć by mógł łatwo o stosunkach naszych pojęcie gorsze, niż jest w istocie. Nie znaczy to wcale, by opisy napadów, rozbojów, rewizyi i aresztowań miały być fałszywe, lecz tego rodzaju wypadki są jakoś mało widzialne na tle wielkiego miasta, rozrzuconego na znacznej przestrzeni i liczącego już dzisiaj 756 tysięcy mieszkańców. Tak n. p. kilka dni temu przeszedłem i przejechałem miasto w różnych kierunkach w ciągu całego dnia i nazajutrz z gazet dopiero się dowiedziałem, że dzień ubiegły należał do najkrwawszych w paru tygodniach ostatnich: tam zastrzelono rewirowego, tam znów bojowcy stoczyli walkę z wojskiem, gdzieindziej znów dokonano zuchwałego napadu ulicznego na kasyera i t. d. A są też dni, które mijają w całkowitym spokoju. Na ogół — polepszyło się znacznie, rabunki się zmniejszyły, bezpieczeństwo osobiste zwiększyło, a patrole policyjno-wojskowe, o ile się ukazują na ulicach miasta, mało się dają we znaki publiczności spokojnej. Policya na rogach ulic należy dziś do rzadkości.

Masowe rewidowania paszportów i tłumne aresztowania od dłuższego czasu się nie powtarzają. Warszawa ma wygląd normalny, wesoły, ożywiony, zwłaszcza w niedzielę, przy pięknej pogodzie. Na pryncypalnych ulicach, na chodnikach tłumy wesołe, wystrojone, kawiarnie modne przepełnione, muzyka gra, powódź dorożek, jak za dawnych „dobrych czasów." Wieczór — 5 teatrów czynnych, miejsca zazwyczaj wyprzedane wszystkie. W reżyseryi znać staranność, dobór sztuk i ich wystawę chwali krytyka zawodowa. Króluje operetka, narazie „Wesoła Wdówka" Lehara, grana dzień w dzień stale przy wyprzedanej widowni. Wielki teatr wystawia „Lillę Wenedę," „Wyrok," „Dziewczynę z zapałkami". Rozmaitości teatr — „Naszych najserdeczniejszych." Teatr mały — „Aureolę". W Cristal Palace popisują się atleci, a mamy też inne przybytki zabawy. Cyrk Cinisellego robi jak zwykle dobry interes. Słowem — Warszawa się bawi, napozór się dzieje wszystko najlepiej. Złudzeniu uledz można, w przesilenie ciężkie, jakie kraj oraz miasto przechodzą, nieuwierzyć. Lecz dość jest porozmawiać z którym z kupców, przemysłowców lub kamieniczników warszawskich. Słyszy się narzekania na czasy tak ciężkie, że się istotnie poddać można obawie, iż kraj nasz wróci nieprędko do stanu dawnego dobrobytu względnego. Zastój w handlach jest wielki, wytwórczość fabryk zmniejszyła się w zastraszający sposób,lub też wyroby zdrożały do tego stopnia, że lepiej w branżach niektórych towar sprowadzać z Niemiec, a nawet Ameryki. Wniknąwszy w życie w dzielnicach robotniczych, widzi się rzeczywistą nędzę spowodowaną nadmiarem rąk roboczych. Posiadać dzisiaj fabrykę lub warsztat jest nieść na sobie krzyż Pański. Szalona, a nieuczciwa agitacya, dążąca już bez osłonek do zrujnowania handlu, przemysłu i zubożenia kraju, wynajduje powody do strajków ciągle nowe i cios za ciosem zadaje bogactwu narodowemu. W dodotku, agitacya strejkowa, będąca dziełem

przeważnie PPS., jest prowadzona w sposób barbarzyński, niszczycielski. Od paru tygodni mamy strajk wędliniarzy, a wszelkie próby otwarcia sklepów spotkały się z niszczeniem towaru i wybijaniem szyb wystawnych. W grę wchodzą i rewolwery. Znów wczoraj rozpoczął się strajk krawców tłuczeniem pięknych, drogich wystaw sklepowych. Usiłowania strajku w gazowni miejskiej datują się też od jakiegoś czasu; ofiarą tutaj padł z brauningów jeden z dyrektorów gazowni — Weke. Strajki te często, a nawet przeważnie są narzucane ogółowi robotniczemu przez organizacye socyalistyczne, gotowe utrzymywać za jaką bądź cenę zamęt i anarchię w Królestwie. Dokąd dążymy i kiedyż nastąpi koniec temu stanowi rzeczy, mającemu za tło — niesłabnący wcale ucisk rządowy? Dawny system po chwilowem wahaniu trwa w dawnej sile. Wyjątki są nieznaczne, spowodowane koniecznościami oczywistemi.

Do konieczności takich należy urzędowanie polskie w instytucyach samorządu miejscowego, na co się rada ministrów zgodziła jednogłośnie. Również ta rada pozwolić raczyła na to, by w konsystorzach i parafialnych urzędach rzymsko-katolickich w Królestwie korespondencya z ludnością się odbywała w języku polskim, a papiery (metryki, chrztu, ślubu) na żądanie były wydawane w językach obydwóch. Wobec tego, że w wielu parafiach księża całą biurowość prowadzą tylko w języku polskim już od roku, reforma owa jest rzeczą bardzo wątpliwej wartości, tembardziej, że w korespondencyi parafii z konsystorzami nadal utrzymuje się język rosyjski. Należy sądzić, że cały kler nasz zignoruje owo krzywdzące rozporządzenie i język polski w urzędowaniu utrzyma.

Warszawski uniwersytet pozostać ma nadal rosyjskim! Wykłady mają być wznowione podobno dopiero w sierpniu 1907 roku, a w celu ściągnięciu do nas studentów Rosyan mają być im nadane rozmaite ulgi, aż do prawa korzystania ze stypendyów i zapisów *polskich* wyłącznie! O ile nowa Duma nie zdąży albo nie zdoła wdać się w tę sprawę — może istotnie dojść do tej potwornej kradzieży. W rosyjskim rządzie o takie rzeczy nie trudno.

Do reform również, tym razem jednak już niewątpliwej wartości, należy wprowadzenie w Warszawie tramwaju elektrycznego, w miejsce dotychczasowych konnych. Ma to nastąpić w początku roku 1907-go. Roboty idą raźnie, miasto „przyozdobiło“ się już czerwonemi słupami, mającemi służyć za przewodniki nadziemne i siecią drutów nad ulicami. Pobudowano też całe linie nowe, których brak odczuwać się dawał dotkliwie. Kursować ma tramwaj i na Powiślu i na ulicy Żelaznej. Dotychczas komunikacya miejska tramwajowa pozostawiała wiele do życzenia, a wiele dzielnic było jej zgoła pozbawionych.

*Sarmata.*

---

## Stronnictwa ludowe w Galicyi.

(Własna korespondencya „Pracy.“)

Lwów, 25-go listopada.

III.

Los i przemoc moskiewska rzuciła na bruk galicyjski kilku ludzi z Królestwa, którzy tam czynny i kierowniczy brali udział w pracach oświatowych wśród ludu wiejskiego. Z ich inicyatywy, za ich radą i wskazówkami powstaje „stronnictwo ludowe“ w Galicyi. Prace przygotowawcze i organizacyjne postąpiły wkrótce tak, iż w czasie wystawy krajowej w roku 1894, tak zwanej Kościuszkowskiej, której patronował ówczesny namiestnik Badeni Kazimierz, urządzono wielki zjazd ludowy i zawiązano stronnictwo ludowe.

W szeregi tego stronnictwa weszły najlepsze jednostki ludowe i cała młoda inteligencya, pochodząca przeważnie ze sfer ludowych, która rwała się do pracy uświadamiającej narodowo i politycznie lud. Sformułowano krótki program polityczny mieszczący się w żądaniu równych praw obywatelskich dla ludu wiejskiego i ogłoszono, iż członkiem stronnictwa może być każdy człowiek godzący się na program stronnictwa.

W tem określeniu istoty stronnictwa była najsłabsza strona tego założenia. Stwarzało się możność oświadczenia się za stronnictwem każdemu pierwszemu lepszemu z kraju, Każdemu awanturnikowi, który chciał zrobić interes na młodym ruchu, zatem nie było mowy o doborze osób. Postawienie krótkiej formuły, iż pierwszorzędnem zadaniem stronnictwa politycznego jest uzyskanie praw obywatelskich dla ludu, który je konstytucyjnie posiadał, ale ich nie znał i nie umiał używać, powtarzało znany już błąd polityczny sfer demokratycznych.

Błędem tym była i jest walka ze sferami konserwatywnymi szlacheckiemi mającemi rządy w rękach bez należytej organizacyi we własnym obozie i bez przygotowania ludu do walki. Skutkiem tego rzucono najlepszą część ludu w wir walk wyborczych, podniecając go agitacyą demagogiczną, obiecującą raj na ziemi, gdy kilku posłów chłopskich wejdzie do sejmu i parlamentu.

Lud szedł w zapasy ochoczo, instynktownie, czuł bowiem, że mu się dzieje krzywda, że dużo ustaw formułowanych jest w ten sposób, iż z tego wynika tylko złośliwe dokuczanie mu w razie potrzeby. A sposobności tych wyborczych nadarzało się dużo w tym czasie, bo nie było prawie roku, aby jakieś wybory nie miały miejsca. Chciano zdobyć miejsce w radach powiatowych autonomicznych. Miejsce to wyborne jako szkoła życia politycznego dla chłopa nie rozumiejącego dotąd potrzeby takiego życia.

Niestety sprawa pochopnie i bez przygotowania poczęta, nie mająca dalszego planu na przyszłość zaczęła upadać. Szlachta zlękła się o stan swój posiadania, zlękła się o władzę, która jej duże korzyści zapewniała. Stanęła twardo w obronie tych przywilejów. Na jej czele stanął Badeni Kazimierz, ten pan, który niedawno temu urządzał wystawy Kościuszkowskie. W strachu o władzę zapomniał o Kościuszce i jego hasłach i ideałach i rozpoczął zaciekłą walkę z ludowcami. Zaczęły się liczne prześladowania ludu tak przez dozory jak. i przez czynniki władzy czy to rządowej czy autonomicznej, nie darowano nikomu, kto tylko ze sympatyami się oświadczał dla tego całego ruchu, Prześladowani nie mając oparcia, ani o własną organizacyą, ani o resztę sfer demokratycznych po części obojętnie, po części i zazdrośnie patrzących na szerzący się gwałtownie ruch, zaczęli tracić na odwadze i ochocie, odpadają coraz liczniej. Młodzież inteligentna, doznająca niemniej prześladowań nie znajdując oparcia w swej pracy w jakimś programie dodatnim po za walką wyborczą, zniechęcona coraz gwałtowniejszemi, a bezcelowemi najczęściej atakami jedynego widomego wodza tego ruchu Stapińskiego, zaczęła się również wycofywać i ruch powoli maleje i czasowo niemal zanika.

A szkoda go wielka, szkoda tej energii wypotrzebowanej nadaremnie. szkoda tej zmarnowanej ochoty ludowej, której uzyskać dziś niepodobna. Szkoda tych chwil, które zwiastowały jakąś wiosnę w narodowem życiu. I były nią te chwilowe walki apostolskiej niemal, te pochody wyborców chłopów, którzy po nabożeństwie z pieśnią „Kto się w opiekę“ na ustach szli do urny wyborczej między szeregami hyjen wyborczych szydzących i zaczepiających bezczelnie, chcąc wywołać jakiś gwałt i uniemożliwić wybory.

Jak z jednej strony brak należytego przygotowania do tej ciężkiej walki, tak z drugiej niezrozumienie chwili przez wszystkie żywioły demokratycz-

ne dojrzalsze już politycznie ponoszą winę zmarnowania tego całego ruchu. Ci wszyscy demokraci galicyjscy wychowani na austryackim liberaliźmie nie widzieli przed sobą również dalszego zadania narodowego u obywatelstwa szerokich mas ludowych. Wystarczała im również walka o władzę ze szlachtą. I oni zlękli się tego ruchu i byli zazdrośni o swe dotychczasowe stanowisko, i oni po cichu radowali się z tego, że brutalna ręka Badeniego gniecie i zabija najpiękniejszy objaw siły narodowej. Zamiast skorzystać z tego, że ten ruch wprowadził do sejmu siedmiu posłów ludowych, a do parlamentu pięciu czy sześciu i wejść z nimi w ścisły sojusz, objąć nad nimi kierownictwo, usunąć to złe co w tym ruchu z braku doświadczenia było — stoją zimni i niechętni na boku, a gdy z ust zacnego człowieka, ale zaciekłego partyjnika konserwatywnego padła w sejmie pod adresem chłopa polskiego gruba obelga, zamiast stanąć w jego obronie i usprawiedliwić go, płaczą nad jego zaślepieniem. Zamarło już w tych demokratach życie polityczne, muszą zejść z pola.

Tak zostawione sobie młode stronnictwo, kierowane przez człowieka energicznego, ale niedorosłego do tego zadania i zanadto namiętnego, zeszło na manowce, z których chyba opamiętanie może je sprowadzić na drogę obowiązku narodowego. *Bes.*

---

## „Czytelnia akademicka".

(Własna korespondencya „Pracy".)

Lwów, 27 listopada.

Ledwie że ucichły odgłosy jubileuszu: czterdziestolecia swego istnienia, a oto znów przypomina się społeczeństwu „Czytelnia Akademicka," przedkładając ogółowi dorobek swej działalności w ubiegłym roku szkolnym. I pisząc dziś o jej sprawozdaniu uważamy za zbyteczne podkreślać jej obywatelskie i wychowawcze znaczenie, o czem wspomniano niedawno w „Słowie," a raczej uważamy za wskazane zarejestrować wyniki jej pracy w roku jubileuszowym.

Rok ubiegły w życiu młodzieży nie był rokiem szczęśliwym; poziom bowiem samego życia, jego rozmach nie dosięgał tej miary, co w latach poprzednich, owszem znać było na wielu polach jego obniżenie. I tem bardziej zaznaczyć należy, iż pomimo nieprzychylnych warunków, pomimo znacznego załomu życia młodzieży „Czytelnia Akad." podjęła wiele spraw pierwszorzędnej wagi, zdołała się utrzymać na tym poziomie, na jakim stać winna najpoważniejsza korporacya młodzieży akademickiej.

Główną troską Wydziału nie tylko w roku ubiegłym, ale i w latach uprzednich, był „Dom Akademicki". Gdy w tak polskiem mieście, jak Lwów, stanął akademicki dom ruski, kiedy rosły fundusze schroniska młodzieży syonistycznej, wrogo i separatystycznie usposobionej wobec naszej narodowości, studenci Polacy nie mieli swej własnej ostoi, jakkolwiek sprawa Domu tułała się od szeregu lat. Dzięki pomyślnemu składowi rzeczy, dzięki hojnej, obywatelskiej ofiarności hr. Skarbkowej, która potrzebny pod budowę grunt ofiarowała bezinteresownie tytułem fundacyi, sprawa postępowała znacznie naprzód i oto 4 listopada byliśmy świadkami wielkiej uroczystości: poświęcenia kamienia węgielnego. Z wielkiem tem w życiu studenckiem świętem połączono obchód czterdziestolecia „Czytelni Akademickiej", który dobitnie wykazał, jakie stanowisko Czytelnia zajęła w społeczeństwie i jaką ono sympatyą darzy najpoważniejszą instytucyę młodzieży.

W życiu zewnętrznem szła „Czytelnia" śladami, jaką jej poprzednicy wykreślili. Uznając, iż t. zw. „ogólnoakademickie wiece," w których bierze udział młodzież syonistyczna i ruska, nie mogą być wyrazem opinii młodzieży polskiej, „Czytelnia" w wiecach udziału wziąć nigdy nie mogła, a sprawy, dotyczące ogółu młodzieży polskiej, wytaczała przed forum młodzieży polskiej. Zebrań takich urządzono trzy: w sprawie dążeń separatystycznych wśród młodzieży żydowskiej, w sprawie ruskiej i w sprawie autonomii.

Skoro w lutym syoniści w murach tak uniwersytetu, jak politechniki zażądali uznania w wyższych zakładach naukowych, ciskając jednocześnie pod adresem studentów Polaków wyznania mojżeszowego obelgi i urągania, młodzież polska widziała się zmuszoną napiętnować czyny ich jako niekulturalne, a żądania jako zuchwałe, a wskazać równocześnie konieczność pracy nad uobywateleniem mas naszego ludu żydowskiego. W ślad za tem poszły czyny: niejeden ze studentów zaciągnął się w szeregi pracowników w Kole Goldmana T. S. L..., a skoro doszły młodzież wieści o pogromach żydowskich, ta pospieszyła im z pomocą materyalną.

Od kilku lat ciągnęła się walka Rusinów o uniwersytet ruski we Lwowie w ostatnim roku przybrała formy niekulturalne i barbarzyńskie. Żywo w pamięci tkwią nam awantury, jakich dopuściła się młodzież „ukraińska" w grudniu 1905 r., jak w marcu tego roku. Studenci Polacy, zastrzegając się najkategoryczniej przeciw napaściom na polskość uniwersytetu, oświadczyli, że nie ścierpią dalszych ataków na naszą wszechnicę; czując zaś, że ataki Rusinów są jeno jednym ze środków podkopania i zniweczenia ruchu narodowego i siły naszej na Rusi Czerwonej, zespalają się w walce obronnej z całem społeczeństwem, które, jak i młodzież, winno zająć stanowisko solidarne, stanowcze, męskie.

Kwestya usamodzielnienia tych dzielnic Rzplitej, które pozostają pod zaborem austryackim, oddawna wśród studentów znajdywała szczery oddźwięk. Przecie niedawne jeszcze czasy, jak w „Czytelni" pracował Władysław Studnicki. Właśnie wówczas, gdy kreślił rzecz swoją o „Wyodrębnieniu Galicyi". Ostatniemi czasy, — gdy wszczęto silną akcyę za tą ideą, młodzież znalazła się w pierwszych szeregach. Ona to szła na wieś popularyzować wielką ideę wśród milionów ludu, za jej głównie pracą szły rezolucye i petycye o samorząd do Wiednia, ona też wypowiedziała się publicznie na wiecu za autonomią kraju. I nie tylko młodzież lwowska, ale i studenci poza granicami Galicyi chętnie stwierdzali podpisem zgodność ze stanowiskiem, jakie tutejsza młodzież zajęła.

Ruch naukowy ogniskował się w Kółkach, których istniało 17, a to: Kółko chemików, etyczno-społeczne, filologiczne, filozoficzne, geograficzne, germanistyczne, historyczne, krajoznawcze, literackie, matematyczno-fizyczne, muzyczne, polonistów, przyrodników, romanistów, studentek, Kółko abad. „Eleuteryi" i abad. oddział ligi ochrony czci. Żywotność Kółek skazuje chociażby suma wygłoszonych na posiedzeniach Kółek referatów i odczytów, dochodząca do imponującej cyfry 251. W Kółkach naukowych, posiadających wielką autonomię, skupiała się cała ucząca się młodzież uniwersytecka bez względu na narodowość i przekonania, a członkowie Kółek mogą korzystać tak z pism, jak z biblioteki „Czytelni". Dla silniejszego zespolenia Kółek z „Czytelnią" stworzono delegacyę Kółek naukowych, ciało pośredniczące między Wydziałem Tow. a Kółkami.

Co do stanu finansowego, to dochody „Czytelni" wynosiły w roku zeszłym 10,955 kor., rozchody zaś 8695 kor. Pism przychodziło 310, w tem 90 naukowych. Biblioteka, licząca około 11 tys. dzieł zwiększyła się o 682 dzieła w 881 tomach. — Członków czynnych było 632.

Oto rocznej pracy plony. A patrząc na nie, bynajmniej nie ogarnie nas zdziwienie, dlaczego „Czyt. Akad." cieszy się takim mirem i na takiem wzięciem u ogółu: są to owoce jej zmudnej

a ciągłej pracy. W obecnej chwili skupiła w swem gronie liczne szeregi młodzieży z Królestwa, co, zniewolone warunkami, przybiegły tu po pracę, naukę i wiedzę; wniosła ona nowy ferment, nowe życie w Towarzystwo, w którem znajdą jako i ogół, i koleżeńskie przyjęcie i pomoc w nauce i dobrą szkołę przygotowawczą do przyszłego, owocnego życia obywatelskiego.

*H. W.*

# Co i jak czytać?

## Kobiety autorki.

Minęły bezpowrotnie te czasy, kiedy kobieta w Polsce zamknięta w ciasnym obrębie obowiązków domowych nie znała innych książek, prócz książki do nabożeństwa i Żywotów Świętych; — gdy ojciec dorosłej córce, która po

Ze stanowiska pedagogicznego zatem przyznać musimy kobietom autorkom, że nie małą zasługę położyły w sprawie oświaty i umoralnienia, a szczególnie rozbudzenia poczucia patryotycznego.

Powieści patryotyczne — oto czego potrzeba naszej czytającej publiczności!

Gdy zważymy, że powieść dla szerokich kół ludzi średnio wykształconych stanowi jedyne źródło wykształcenia, że na umysły i charaktery mniej wyrobione wywiera wpływ głęboko sięgający — wtedy zrozumiemy wartość i znaczenie powieści patryotycznych.

Do takich powieści liczy się niektóre utwory M. Zaleskiej i Jadwigi Peppi. Osnowę ich stanowi zwykle doniosły fakt historyczny, ujęty w barwną i przystępną formę powieści. Polecamy

gieny są niesłychane epidemie i różne zaraźliwe choroby. Szczególnie suchoty są pomiędzy wiejską ludnością w Rosyi prawdziwym aniołem morzycielem. Lekarzy po wsiach nie masz prawie wcale, bo gdyby nawet jakiś lekarz znalazł niezwykłą odwagę do osiedlenia się na wsi, to skazałby sam siebie na śmierć głodową. Jeżeli więc chłop zechce udać się do pomocy lekarskiej, to zmuszony jest szukać jej w najbliższem mieście powiatowem, które często oddalonem jest o kilkanaście wiorst. Jeżeli dziecko zachoruje, to czekać musi do pierwszej okazyi. Kiedy chłop będzie miał interes w mieście, to dla „rebioszka" (dziecka) nie opłaci się zaprzęgać konia. Dla tego też chore dzieci umierają prawie zawsze bez pomocy lekarskiej. Liczba niemowląt, umierających nie dożywszy roku, wynosi 50 proc.

chłop. Dotychczas jednakże chłopu w ruchu rewolucyjnym przypadła tylko nieznaczna i miejscowo ograniczona rola.

Do świadomości rewolucyjnej podniósł się on dopiero tam, gdzie jego przeistoczenie się w przemysłowego proletaryusza już nastąpiło.

Ogromna masa chłopów rosyjskich jest żywiołem tak ociężałym, tępym i nad wszelki wyraz leniwym, że trzeba jeszcze długich lat dziesiątek, aby te miliony poruszyć i podnieść do świadomości własnego istnienia. Dawno zapowiadana rewolucya chłopska w Rosyi nie rychło nastąpi. Wprawdzie hasło: „tak dalej żyć nie można“ przeniklo nawet już do najodleglejszych od ludzi północnych i wschodnich gubernii. Rok rocznie 200,000 wysłużonych sołdatów powraca do chaty ro

# Poza granice Księstwa.

Nauka religii w języku niemieckim dawniej aniżeli w księstwie zaprowadzona została w Prusach Zach. — dawniej królewskich. Te Prusy politycy niemieccy nazywają od dawna krajem „na wskroś germańskim.“ Musi być więc według ich zdania w tym kraju wszystko po niemiecku.

Strajk — t. j. opór dzieci z dzielnicy naszej przeciwko niemieckiej nauce religii rozbudził i Prusy Zach. Księża udali się z prośbą do *ks. dr. Rosentretera* w Pelplinie, aby poczynił u rządu starania o polską naukę religii. Ks. biskup odpowiedział, że to na próżno. Prosili go więc księża, by okólnikiem oznajmił ludowi, że niemiecka nauka religii w szkole — nie zgadza się z zasadami kościoła. Ks. biskup

Słomsk, Radowiska, Galczewo i Lipnica — Orłowo pow. chełmiński — Chwarszno pow. kościerski — Miechucin pow. kartuzki — Gembowice — Osowo pod Karsinem — Studzieniec pow. starogardzki — Polskie Brzozie i Lubawa — Mroczno i Moczenko — Jeżewo — Grabówiec — Trampel — Nowe — Warlub. Tontuowo — Śliwice — Fronca — Rychłowo — Subkowy — Łżyń — Jaroszewy — Szkic — Kamionka p. Turznem i Sierakowice — Miechucin pow. kartuzki — Pomierzyńska Huta — Prokowo, Sumin, Kamienica na Kaszubach — Wiele — Gembowice — Lidzbark — Ciechowo i Ciepło p. Gniewem — Jeżewnica, Przewodnik, Lisówko, Rożental, Ranclaje i Ostrzyce — Skarszewy i Polskie Brzozie — Marcinkowo, Jeżewo, Rakowiec i Żelgoszcz — Jaźwiska i Opalenie pow. kwidzyński — Skotno, Raciąż, Okikewsk w pow. tucholskim —

Kościelne — Sarbia — Sciborze — Zacharzew — Topola Mała — Rydzyna — Wielowieś pod Gniewkowem — Gołdawa p. Gąsawą — Wymysłowo p. Trzemesznem — Lipówiec — Wyszy-Brociszewo pod Gnieznem — Słupiany pow. chodziezki — Romóczyn — pod Rawiczem — Rojów — Książ — Imielno — Morasko, Łagiewniki i Chojnica pod Poznaniem. Łojewo — Bielsk p. Strzelnem — Opoki. —

*Z Górnego Śląska* o strajku dochodzą tak niepewne wieści, że niewiadomo, czy surowym wyrokiem sądu zabrskiego zastraszeni rodzice i dzieci się cofnęły, czy też myślą strajk podtrzymać. Sprawa wyroku zabrskiego oprze się — o parlament i przyjdzie prawdopodobnie w najbliższym czasie pod obrady.

---

## O rozmaitej wartości

niec wstydu na twarz dorosłego nawet człowieka?

Bo nieznamy własnych autorów i pewnie też często nawet nie wiemy, gdzieby można w łatwy sposób nabyć dobrych książek.

A przecież w każdym powiecie znajduje się mniejsza lub większa ilość bibliotek, założonych i utrzymywanych od ćwierć wieku przez nasze *„Towarzystwo Czytelni Ludowych,“* które dokładnej ocenie poda każdą książkę, zanim ją w świat do ogólnego użytku roześle!

Kto zatem myśli o przyszłości, a pragnie dla siebie, lub dla swej rodziny zdrowego duchowego pokarmu, ten niech korzysta z tej dobroczynnej instytucyi, niech pamięta o jej potrzebach:

Niech popiera Towarzystwo Czytelni Ludowych!

---

## Zebrania i wiece

**W Pelplinie**

zebranie delegatów *Kółek rolniczych* na Prusy Zachodnie o godz. $1^1/_4$ na sali p. Sikorskiego.

*Rodacy!* w tych wiecach, zebraniach i uroczystościach jak najliczniejszy bierzcie udział. Będzie to dowodem postępu naszego narodowego uświadomienia. Wszystkim tym wiecom, zebraniom i obchodom przesyłamy od siebie serdeczne: szczęść Boże!

---

# Ruch w Towarzystwach.

— *W Dreźnie* obchodzi *Towarzystwo Przemysłowców Polskich* w niedzielę dnia 2-go grudnia r. b. wieczorem o godzinie 7-mej w sali swych posiedzeń w lokalu Kronprintz Rudolf, Schreibergasse Nr. 12, I. piętro *Trzydziestą siódmą rocznicę* i pozwala sobie Szanownych Rodaków na uroczystość tę jak najuprzejmiej zaprosić, oraz na Mszą świętą, która w niedzielę 2-go Grudnia o godzinie 10-tej na intencyę Towarzystwa w ...

* **Chłosta czy katowanie?** „Przyjaciel Ludu“ donosi o niesłychanej chłoście w szkole. Gdy dnia 8-go z. m. w szkole w *Szubinie* syn rzeźnika p. Siuchnińskiego nie chciał odpowiadać na niemieckiej nauce religii, wyprowadził go z ławki nauczyciel Niemiec-katolik, a przyparlszy do słupa stojącego w środku klasy, wziął chłopca podobno za rękę i przyciągnął na około słupa, przytrzymał nogą i tak długo bił po dłoni, aż biedny chłopiec zemdlawszy upadł. Widząc to ów pan, zwołał swych kolegów i zaczął razem z nimi chłopca cucić, lejąc mu w usta wodę. Gdy chłopiec przyszedł do siebie, kazali mu wyjść z klasy na podwórze, on natomiast poszedł do domu, gdzie jeszcze 3 razy zemdlał, tak iż potrzeba było zawołać lekarza. Nadmienić wypada, że chłopiec ten już z natury jest słaby i chorowity. Wiadomość tę podajemy na odpowiedzialność „Przyjaciela Ludu.“

* **Z walki o ziemię.** „Lechowi“ donoszą, że pan Filipiński, dawniejszy posiedziciel *Dalek* pod Gnieznem, nabył dobra rycerskie Tarnówko (przechrzcone na Marienhöhe) w powiecie

Podczas studyów moich podziwiałem wielkość i potęgę rozmaitych idei, ale i dziś wielkiej idei potęgę podziwiać muszę, gdy patrzę na naszą biedną dziatwę, która za religią takie cierpienia znosi. Gdy idę ulicą, a widzę tę dziatwę, to mimowoli uchylam kapelusza, aby oddać cześć tym małym męczennikom. Gdybym mógł, to stanąłbym z niemi w szkole, aby dzielić ich cierpienia, ale ponieważ tego uczynić nie mogę, więc z tego miejsca cześć i szacunek im oddaję. *Gdyby mi chodziło o jakieś fawory lub względy możnych tego świata, to cisnąłbym je pod nogi dla tak świętej sprawy, bo te fawory tylko plamią.*

W końcu X. prof. Trzciński zaznaczył, że stanął na wiecu, aby zaznaczyć swą solidarność z tak bardzo uciskaną a walczącą o swe prawa ludnością polską.

Wzniosłe te i prawdziwe kapłańskie słowa wywołały na sali niesłychany zapał i słychać było później głosy: Ach, gdyby wszyscy księża tacy byli!

* **Do rad miejskich** odbywają się w różnych miejscowościach ...

ta łagodność wygląda, przekonujemy się z powyższego wyroku.

* **Koncert.** Koło Śpiewackie Polskie w Poznaniu urządza w niedzielę, dnia 16 grudnia rb. na sali małej „Apollo“ wielki koncert ludowy z bardzo obfitym i urozmaiconym programem i występami chóra męskiego, żeńskiego i mięszanego z towarzyszeniem orkiestry. Wykonane będą tylko swojskie dla ucha tak miłe utwory nasze, pomiędzy niemi także „Zaloty na Kujawach“ i „Grajek“. — Spodziewać się należy, iż szanowne obywatelstwo życzliwe zawsze towarzystwu temu tłumnie podąży na ten koncert, tem więcej, że „Koło“ nigdy nie szczędziło trudów, ażeby pobyt szanownemu obywatelstwu uprzyjemnić. — Ceny miejsc unormowano bardzo przystępnie. Loże 1,50 mr., I miejsce 1 mr., II miejsce 75 fen., miejsce stojące 50 fenygów.

Dowiadujemy się dalej, iż „Koło Śpiewackie“ stara się o nabycie orkiestralnej części „Pieśni o Ziemi naszej“ od szanownego autora jubilata Bole-

Rodakom, że Towarzystwo Przemysłowców Polskich *w Dreznie* już w roku 1885 czując konieczną potrzebę, utworzyło za zezwoleniem władzy tutejszej stałą kasę wspomogi, przyjmując tym sposobem opiekę nad przechodniami polskimi potrzebującymi pomocy, a którzy nie mając w Dreznie żadnego punktu oparcia zmuszeni są pukać do bram krywatnych, narażając siebie i ofiarodawców na przykre położenie.

Licząc na wrodzone współczucie Szanownych Współrodaków pokładamy nadzieję, że podjęte zadanie nasze tak słowem jak czynem poprzeć raczą.

Wszelkie odnośne listy lub przekazy, prosimy w danym razie przesłać na ręce Towarzystwa, zarçczając z naszej strony, iż godnie i sumiennie podjęte obowiązki spełnimy a tak dochody jak wydatki pod ścisłą kontrolą prowadzone, w pismach polskich w półrocznych sprawozdaniach ogłaszane będą.

Z wysokim szacunkiem
w imieniu Towarzystwa
*I. F. J. Komendziński.*

* **Tow. Czytelni Ludowych.** Wszelkie korespondencye w sprawie towarzystwa naszego, zakładania bibliotek itd., prosimy wysyłać wprost do biura naszego pod adresem:

Czytelnia Ludowa Poznań (Posen Bäckerstr. 10).

Adres skarbnika:
Dr. Kapuściński Poznań (Posen).

* **Tow. Czytelni Ludowych** urządziło na Piekarach 10 jeszcze jedną wypożyczalnię książek i wzywa publiczność do korzystania z biblioteki, która jest otwartą od 11—1 i od 4—6.

*Zarząd Tow. Czytelni Ludowych.*

* **Nasza ofiarność.** Nienormalne stosunki wymagają po nas wiele pracy i wiele ofiar pieniężnych, ale pomimo to nie jesteśmy jeszcze wcale tak bardzo obciążeni, jak to wykaże następujący rozrachunek.

Do ogólnej oświaty nikt się u nas nie przyczynił tyle, ile Towarzystwo Czytelni Ludowych, a więc zdawać by się mogło, iż ta najpotrzebniejsza i najdobroczynniejsza nasza instytucya środków posiada poddostatkiem. Rzecz się ma jednak wręcz przeciwnie, bo gdyby nie ofiarność przypadkowa pojedyńczych jednostek, to Towarzystwo Czytelni Ludowych dawno już by się było musiało rozwiązać.

W obrębie granic państwa niemieckiego jest nas mniejwięcej 3 miliony ogólnej ludności, czyli 600 tysięcy samodzielnych osób. Ponieważ zaś dochody towarzystwa z bieżących składek nie wynoszą ani 10 tysięcy marek rocznie, więc ztąd wynika, że każdy samodzielny człowiek płaci na Towarzystwo Czytelni Ludowych ani jeszcze nie 2 fenygi rocznej składki.

Tak źle jednak znowu z nami nie jest, aby nas niestało na trochę więcej, niż na taką tylko odrobinę z naszych dochodów.

Bez oświaty zginiemy, a zginiemy, skoro towarzystwo dla niedostatku funduszów ograniczyć musiało swoją działalność.

Jeśli więc pragniemy dla narodu lepszej przyszłości, to potrzeba koniecznie, abyśmy więcej niż dotąd, abyśmy wszędzie i zawsze czynem i słowem popierali Towarzystwo Czytelni Ludowych w Poznaniu.

* **Bojkot.** *Z Dębca* pod Poznaniem: „Kriegerverein“ tutejszy postanowił nie odbywać zebrań w lokalu p. Taberta dla tego, że oddał swoją salę na wiec w sprawie szkolnej. Co najciekawsze, że podobno połowę członków „Kriegervereinu“ stanowią Polacy! Czy to istotnie prawda?

* **Ślub.** W Grodzisku dnia 20 z. m. pobłogosławionym został związek małżeński p. Franciszka Kilkowskiego, budowniczego z Wrześni, z panną Stanisławą Lambertyną Wanorek z Grodziska. Aktu ślubnego dokonał kuzyn panny młodej, ksiądz proboszcz Ant. Tyrakowski z Gniezna w asystencyi księdza prob. Alejskiego z Grodziska. W czasie wieczerzy przesłano nowożeńcom wielką ilość powinszowań ze wszystkich stron Księstwa. „Szczęść Boże“ młodej parze!

* **Szkoła kupiecka** powstanie w Poznaniu. Odnośny układ pomiędzy magistratem a izbą handlową został już zawarty.

* **Sława strajku szkolnego** dzieci polskich rozbrzmiewa daleko poza granicami Prus, Niemiec i Polski. Zajmuje się nim prasa całego świata. Nawet ormiańskie gazety rozpisują się o położeniu Polaków pod zaborem pruskim i dowodzą, że Polakom gorzej jest pod Prusakiem, jak im. (Ormianom) *pod Turkiem.* Do ich szół bowiem, ani do Kościoła rząd turecki się nie miesza i nie myśli ich wynaradawiać. Gazeta, która się tak bardzo sprawami naszemi zajmuje, nazywa się „Surantak.“

* **Oborniki:** O *Maniewo* sprzedane przez p. W. Gniadkiewiczową panu Wialeckiemu z Łazarza pod Poznaniem wybuchł spór: czy pójdzie na kolonizacyę, czy nie. Zaraz po dokonanej sprzedaży pojawiły się alarmujące wieści i zaprzeczenia. Pani Gniadkiewiczowa, p. Wialecki wraz z synem, studentem agronomii w Lipsku, stanowczo przeczą podobnym wieściom. W interesie narodowym spodziewamy się, że pp. Wialeccy publicznych zaręczeń święcie dotrzymają.

* **Gniezno.** Administratorem dyecezyi gnieźnieńskiej mianowała Prześwietna Kapituła ks. prałata Dorszewskiego.

Zależnym jest wybór ten jednakże od zatwierdzenia ministerstwa oświaty i spraw kościelnych.

* **Kępno.** U nas miałyby następujące składy znakomite powodzenie, ponieważ w rękach polskich takich nie ma, a okolica polska i lud dość uświadomiony: galanteryjny, porcelany, szkła, skór, towarów krótkich na większą skalę oraz destylator hurtowny. Niezbędna jest jednak gruntowna znajomość fachowa.

Także weterynarz może liczyć na pewną egzystencyę.

Informacyi chętnie udzieli każdy z kupców tutejszych.

* **Z Wągrowieckiego.** Komisya kolonizacyjna nabyła znowu w powiecie wągrowieckim majętność Białybród, około 1000 mórg obszaru. W powiecie tym skupiła już kolonizacya przeszło 3 i pół mili kwadratowej, a 3 mile kwadratowe rozparcelowała i osiedliła na nich Niemców. Posiadłości komisyi kolonizacyjnej wynoszą 19 procent całego obszaru powiatowego.

Z rąk polskich wykupiono 15 dóbr i 6 gospodarstw chłopskich, razem 6500 hektarów. Utworzono w powiecie 26 nowych osad wiejskich z 6500 dusz niemieckich.

* **Wolsztyn.** Towarzystwo Rzemieślników Polsko-katolickich w Wolsztynie urządziło teatr amatorski dnia 18-go listopada b. r. Odegrano następujące sztuki: „Nie ma jak to handel wódką“, „Sposób na gadatliwe kobiety“ i „Czarodziejskie skrzypki“ Amatorzy jako i amatorki wywiązali się ze swych ról dobrze; po teatrze bawiono się do godziny 3-ciej ochoczo i wzorowo. Zarządowi, który się przyczynił do urządzenia teatru i zabawy, składamy podziękowanie.

*Jeden z widzów.*

* **W. Strzelce. G. Ś.** Panowie Kardolińscy dotychczas tutaj drogeryi nie otworzyli.

* **W Czempiniu** staraniem księdza prob. Kiełczewskiego założony został bank ludowy. Rendantem tegoż ma być pozasłużbowy nauczyciel p. Machiński z Gorzyczek.

* **Koźmin.** Podług ostatniej statystyki ludności liczy miasteczko nasze 2256 mężczyzn i 2556 kobiet, pomiędzy tymi 3 wojskowe osoby. Podług wyznania dzieli się ludność na 3580 katolików, 914 ewangielików, 312 żydów i 6 innego wyznania.

* **W Wyrzysku** skazał sąd okręgowy 20 ojców rodzin na zapłacenie kary pieniężnej za to, że nie posłali dzieci swych na areszt nałożony im z powodu nieodpowiadania w niemieckiej nauce religii.

* **Śmigiel.** Bank Ziemski w Poznaniu sprzedał nabyty przed kilku laty od p. Geislera folwark w Śmiglu, po rozparcelowaniu części pomiędzy sąsiednich gospodarzy w pozostałym obszarze około 540 mórg p. Wincentemu Müllerowi, administratorowi z Szołdr, zięciowi znanego właściciela fabryki p. Stanisława Malinowskiego ze Śremu. Nabywcy — szczęść Boże.

* **Kiecko:** „Lech“ donosi, że *Polskawieś*, własność p. *Koszczyńskiego* ostatecznie idzie na komisyę kolonizacyjną, i to z powodu trudności finansowych właściciela. Sprzedaż doprowadza do skutku niejaki p. *Kopczyński* z Gniezna.

* **Dolsk:** Ks. prob. Olszewskiemu odebrano prawo dozoru nauki religii w szkołach swej parafii, ponieważ użalał się na nauczycieli, że wprowadzają do nauki tej niemiecki język. Regencya akt ten tłómaczy tem, że ks. prob. O. „zawiódł“ jej oczekiwania. Widocznie spodziewała się regencya, że ks. polski będzie w jej ręku — narzędziem germanizacyjnem. W takim razie bardzo dobrze, że się regencya — zawiodła.

* **Z Mogilna** odbieramy od chłopca szkolnego wierszyk, który dla charakterystyki doby obecnej w wyjątkach tutaj przytaczamy. Chłopiec ów najpierw pisze, że chętnie wszystkie katusze poniesie za swą polską mowę

najdroższą, że nie dba choćby o kary najsroższe i tak rozumuje:

*„Mam się może wyprzeć ciebie, (Mowy*
*polskiej — Red.)*
*„I być kraju odszczepieńcem?*
*„Jam na polskiej zrodzon glebie,*
*„I nie zrobi mnie nikt Niemcem.*
*„Mam pacierza już nie mówić,*
*„Jak mnie uczył Ojciec stary?*
*„I Ojczyznę mam zagubić,*
*„Wyprzeć mam się Ojców wiary?*
*„Nie mam śpiewać — nie mam mówić,*
*„Wszystko mam wydalić z chatki,*
*„Wszystko, wszystko mam zagubić,*
*„Com się uczył od mej Matki?"*

Nie! — odpowiada chłopiec:

*„Boże mój, ja dla Twej wiary*
*„Wytrwam przecież do ostatka*
*„— Tak chce Ojciec mój i Matka!"*

Całą swą ufność nasz młody poeta pokłada w zlitowaniu Boga, bo on jest dla niego „Bogiem miłości," który mu doda sił do zniesienia wszystkich przeciwności i kar.

— Czyż to nie „mały bohater?" Zaiste takie objawy świadomości znaczenia walki za wiarę powinny dać kierowniczym władzom wiele, bardzo wiele do myślenia. Niestety, zaślepienie hakatystyczne nie pozwala im widzieć rzeczy tak, jak one się przedstawiają trzeźwo każdemu człowiekowi, lecz każe im wszystko nakładać na karb straszaka — o wielkopolskiej agitacyi.

* **W Berlinie** policya zakazała Towarzystwu „Oświata" przedstawienia komedyi Michała Bałuckiego „Dom otwarty". Zakaz nadszedł dzień przed przedstawieniem.

* **W Lipsku** odbył się w sprawie polskiej opieki duchownej wiec dnia 18 b. m. Domagano się nabożeństw i kazań polskich. Na ten temat przemawiało wielu rodaków tamtejszych. Wiec dozorowało dwóch tajnych policyantów, czego dotąd nie bywało.

* **Krotoszyn.** *W Gościejewie* przyczynił się sołtys p. Furmann do rozszerzenia „Straży"; naturalnie czemprędzej złożono go za to z urzędu.

* **Posady** poszukuje rodak, urzędnik gospodarczy; poleca się jako dobry, pilny i uczciwy gospodarz. Łaskawe zgłoszenia prosimy przesyłać pod adresem: Ekspedycya „Pracy" — Poznań — Posen.

* **Chleb dla swoich.** (Ogłoszenie XI. z dnia 24-go listopada 1706). Następujący rodacy, dzielni w swym zawodzie, znajdą chleb między swoimi: 1) Aptekarz. 2) Adwokat. 3) Samodzielny kupiec kolonialny. 4) Lekarz. 5) Szklarz. 6) Piekarz. 7) Blacharz. 8) Samodzielny destylator. 9) Stolarz (z kapitałem 10 tysięcy marek). 10) Rolnik (z kap. 5.000 marek). 11) Gościnny (z kapitałem 12.000 marek). 12) Starszy służący (pobierający rentę) w Poznaniu. Bliższych informacyi — najchętniej ustnie — udzieli *Biuro „Straży,"* Piekary 13 II. ptr. Adres: Dr. Tadeusz Jaworski, Poznań-Posen. Uprasza się dołączyć znaczek na odpowiedź.

* **Chleb dla swoich.** (Ogłoszenie XII. z dnia 27 listopada 1906). Następujący rodacy, chcący się osiedlić i z odpowiednim kapitałem znajdą chleb między swoimi: 1) Zegarmistrz. 2) Kupiec skór. 3) Kupiec (galanteryjny). 4) Kupiec (porcelany i szkła). 5) Nauczyciel muzyki. 6) Weterynarz.

Bliższych informacyi, najchętniej ustnie — udzieli „Biuro „Straży", Piekary 13 II ptr. Adres dr. Tadeusz Jaworski, Poznań-Posen. Uprasza się dołączyć znaczek na odpowiedź i podać nr. i dzień naszego ogłoszenia.

* **Skład galanteryjny** wraz z domem w czysto polskiem mieście przy rynku, za wpłatą 2000 mr. jest zaraz do nabycia. Cena kupna wynosi 16 tys. marek. Zgłoszenia uprasza Biuro „Straży" pod adr. dr. Tadeusz Jaworski, Poznań-Posen.

* **Skład wiktualny** z maglą oraz dobrze prosperująca prania i prasowalnia z prężalnią firan jest tanio do nabycia. Pomieszkanie obszerne; dzierżawa niska. Adres wskaże redakcya „Pracy".

* **Baczność.** Do dzisiejszego numeru „Pracy" dołączamy *cennik wyrtemberskiej fabryki wyrobów metalowych,* na co zwracamy baczną uwagę Szanownym Czytelnikom.

## Nekrologia.

† Ś. p. *Ofelia z hr. Skórzewskich hrabina Józefa Potulicka,* dnia 19-go z. m. w Próchnowie, przeżywszy lat 79. Zwłoki złożono w grobach familijnych w Zaniemyślu, dnia 23-go z. m. R. i. p.

† Ś. p. *Elżbieta z Karwatów Czapska,* dnia 19-go z. m. w Brodnicy, przeżywszy lat 64. R. i. p.

† Ś. p. *Janina Skoraczewska,* córka zasłużonego obywatela, dzielnego patryoty, nadleśniczego p. Filipa Skoraczewskiego, dnia 22-go z. m. w Bagatelce pod Miłosławiem. R. i. p.

† Ś. p. *Kazimierz Szczaniecki,* sodalis Marianus, dnia 25-go z. m. w Poznaniu. Zwłoki złożono w grobach familijnych w Gostyniu dnia 28-go z. m. R. i. p.

† Ś. p. *Kazimierz Deutsch,* dnia 24-go z. m. w Pluskowęsach w Prusach Zach. przeżywszy lat 44. Pogrzeb odbył się dnia 28-go z. m. w Chełmży. R. i. p.

† Ś. p. *Janina Kostrzewska,* dnia 25-go z. m. w Poznaniu w 20-ej wiośnie życia. R. i. p.

† Ś. p. *Janina z Rochonów Żabińska,* dnia 25-go z. m. w Pawłowie. Pogrzeb odbył się w Kościelnej Dabrówce ,dnia 28-go z. m. R. i. p.

## Nasza ofiarność

**Na weterana z roku 1863-go schorzałego i biednego, zagrożonego wydaleniem z mieszkania wobec nadchodzącej zimy!** w dalszym ciągu: pp. Wojciech Stachowski, Adam Szermer i Adam Mierzejewski, wszyscy z Grodziska po 1 mrk; razem 4 mrk; zebrane przez p. Fr. Rafińskiego z Monkowarska na weselu u pani M. Holka w Lucimiu 14 mrk; zebrane na posiedzeniu Towarzystwa gimnastycznego „Sokół" w Rixdorfie, dnia 17-go z. m. przez p. Leonarda Leśniewskiego 7 marek.

O dalsze ofiary bardzo prosimy, gdyż na zimę nadchodzącą zostanie biedny weteran bez dachu nad głową.

## Od Redakcyi.

**W różne strony:** Rodakom, którzy nadsyłają nam gazety niemieckie z artykułami o strajku szkolnym, dziękujemy za pamięć serdecznie. Artykułów tych użyć jednakże nie możemy. Prasa niemiecka tyle o strajku szkolnym obecnie pisze, że musielibyśmy taką „Pracę", jaką wydajemy raz na tydzień, wydawać dwa razy dziennie. Kilkakrotnie zresztą pisaliśmy o tem, że prasa niemiecka co do strajku rozpadła się na dwa obozy — jeden przychylny (katolicki i wolnomyślny) a drugi nieprzychylny (hakatystyczny, konserwatywny i narodowo-liberalny).

Podpadło nam atoli, że często rodacy nadsyłają nam głosy przychylne niemieckich gazet, a żądają, żebyśmy je potępili. Jakże to? — my zwolenników naszych mamy potępiać?! Nie, to chyba nadsyłający nam owe artykuły, nie rozumiejąc jak się należy niemieckiego języka, treści ich nie zrozumieli.

Jeden z rodaków, który najwidoczniej przychylnej treści artykułu pewnego pisma nie zrozumiał, wysłał nawet grubijański list do redakcyi tego pisma. Przed takiem postępowaniem musimy stanowczo przestrzedz. Nam nie należy sobie przyjaciół odstręczać — ale ich jednać.

— *Panu Franciszkowi Ch. w K.* — Za współczucie dziękujemy serdecznie i zasyłamy miłe pozdrowienie.

— *Niceforowi z nad Orli.* — Uznajemy dobre chęci, ale wiersz jest za słaby wobec tak wielkiej żałoby, więc nie zamieściliśmy.

— *Panu K. Mag. w P.* — Brykiety nie wyrabiają się z torfu, lecz z węgla brunatnego. Postaramy się o ile możności — sprawę tę wyjaśnić.

— *„Sokolicom" w Charlottenburgu.* — Za nadesłane współczucie z powodu zasądzenia na więzienie naszego redaktora najserdeczniej dziękujemy i wysyłamy miłe pozdrowienie. Czołem!

## Od Administracyi.

**Ogłoszenia małe jedno lub kilkorazowe, przyjmujemy tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości, licząc wiersz petytowy jednołamowy po 30 fen., przy kilku razach udzielamy rabatu.**

# Naród Polski

## pod obcem panowaniem.

31)

Opowiedział

**Julian Baczyński.**

(Ciąg dalszy).

Dąbrowski i Wybicki powtarzali głośno wypowiedziane przez Napoleona, podniecające słowa:

— Zobaczę, czy Polacy godni są być narodem!

W odezwie Wybickiego czytano jeszcze zdanie:

— Wkrótce Kościuszko wezwany przez wielkiego Napoleona przemówi do Was z jego woli![1])

Trudno opisać zapał, jaki z przybyciem owych dwóch mężów zapanował w ziemiach polskich. Przedstawia to naoczny świadek, Stanisław Barzykowski w następujących słowach:

„Mężowie, starcy i niedorostki, panowie, szlachta, mieszczanie i kmiecie, wszyscy hurmem i bez wyjątku cisnęli się w szeregi. Cudowny, niepojęty widok! Kontusze, mundury wojewódzkie, kapoty stawały obok fraka, czamary, sutanny, siermięgi, a we wszystkich jedno uczucie, jedno pragnienie, jedno słowo: Polska!"[2])

Dnia 3-go listopada zajął Poznań generał francuski Excelmans z przednią strażą wojska. Napoleon polecił Polakom wyswobodzić Warszawę i obwarowaną Łęczycę. Na jego rozkaz dostarczono Dąbrowskiemu i Wybickiemu

[1]) Wybicki, pewny przybycia Kościuszki, umieścił te słowa na swej odezwie, co stało się przyczyną przykrego nieporozumienia. Sokołowski, IV, 1321.

[2]) Limanowski, 49, 50; Lewicki, 383, 384.

3000 sztuk broni do uzbrojenia sześciu batalionów piechoty; z zapasów Kistrzyńskich miało nadejść spiesznie 20.000 sztuk broni.

Oddziały powstańcze organizowały się nader szybko a w kraju znać było ruch wielki choć jeszcze tajemny. Do Warszawy pomiędzy straże pruskie przekrada się spiesznie z Poznania odważny młodzieniec Józef Szymanowski i przewozi ukrytą odezwę Dąbrowskiego. Inny młodzieniec Jan Dziewanowski opuszcza stolicę i spieszy na zwiady do Poznania.

Przerażeni Prusacy, nienawidzący Polaków i polskiego języka, teraz nagle pokochali ten nasz polski język. Bo oto nie w niemieckim lecz w ciekawym języku polskim wydał rząd pruski następujące groźne rozporządzenie (11 listopada 1806 r.):

— Ogłaszamy *publicandum* przeciw burzycielów i sprzyjaznych do insurrekcyjnych poruszeń w Prusach południowych; oddajemy tych *złoczyńców* pod prawa wojskowe, rozkazujemy chwytać ich, we 24 godzin *krygsrecht* z nimi odbyć i przekonanych zastrzelić![3])

Na to odpowiedzią był niesłychany zapał, jaki przed wszystkiemi ogarnął całą tak patryotyczną Wielkopolskę, której obywatele na wezwanie Napoleona oświadczyli swą gotowość w następującem treściwem wynurzeniu:

„Na głos najdroższy odradzającemu się Polakowi, iż z woli zbawcy naszego, niezwyciężonego Napoleona, zawiązywać się ma siła zbrojna narodowa, niesiem ci JW. generale z pośpiechem oświadczenie nasze, iż nietylko chętnie przystawimy żołnierza, ale nawet potrzebne na umundurowanie jego damy sukno, koszule i trzewiki, tudzież żołd

[3]) Morawski, VI, 59.

# Czerwony znak.

12)

Z włoskiego tłumaczył **A. P.**

(Ciąg dalszy).

Detektiw wprowadził go natychmiast do swego pokoju i przedewszystkiem zgolił mu wąsy. Hamiltonowi żal było tej ozdoby, z której był tak dumny, ale i tę ofiarę poniósł z poddaniem się i cierpliwością.

— Jesteś pan teraz tak zmieniony, — rzekł detektiw, przycinając na bokach bujne jego włosy, — że nie potrzeba ani peruki, ani kosmetyków, ani żadnych wogóle środków. Weź pan tylko jeszcze inne ubranie oraz inny kapelusz, a ręczę, że nikt pana nie pozna! Dam panu mój kuferek, moją derkę i płaszcz — będziesz wyglądał jak turysta niemiecki.

Hamilton rzeczywiście sam siebie nieledwie nie poznał i pod przewodnictwem Scotta opuścił gmach policyi drogami, o których istnieniu człowiek, nieznający tajemnic policyi, nigdy by w życiu nie myślał. Po upływie mniej więcej godziny wyjeżdżał z Londynu, tym razem zupełnie pewny, że oko żadnego szpiega nie mogłoby go wyśledzić. Nawet detektiw Scott nie znał celu jego podróży. Hamilton przyrzekł wprawdzie napisać do niego po kilku dniach i przysłać mu swój adres, aby w danym razie policya wiedziała, gdzie go szukać, lecz postanowił tak bardzo się z tem nie spieszyć.

Chwilowo bowiem nie spodziewał się od Saint-Johna żadnych wiadomości, i nie przypuszczał, aby mu w Staines miało grozić jakie niebezpieczeństwo!

To też z lekkiem sercem otrząsnął proch Londynu z nóg swoich i razem z nim nieustanne i nieznośne uczucie strachu, że krok w krok za nim idzie szpieg, który czeka może tylko stosownej chwili, aby mu sztylet zatopić w sercu!

### ROZDZIAŁ XIX.

Powietrze niezwykle było ciepłe i słoneczne. Pomimo, że był już początek grudnia, ociągała się zawsze jeszcze zima z przybyciem. Jasne promienie słońca złociły pola, przez które przejeżdżał Hamilton i łamały się w listkach drzew, poruszanych lekkim wiatrem.

Hamilton siedział sam w przedziale drugiej klasy i oddychał z rozkoszą świeżem, wiejskiem powietrzem, wpływającem do wagonu przez obydwa otwarte okna. Po wzruszeniach, doznanych dziś rano, cieszył się tem więcej obecnym spokojem, potrzebnym mu do zebrania i uporządkowania myśli.

W Staines zjadł prędko śniadanie, kupił kilka drobnostek, których zapomniał zabrać z domu, a przedewszystkiem zaś nabył w księgarni dzieło o pomnikach i sławnych grobowcach w Anglii. Musiał to mieć koniecznie. Tak uzbrojony, czekał spokojnie na zamówiony powóz, który go miał zawieść do zamku Vaustone.

Nie mając chwilowo nic do roboty, wypytywał hotelistę o wszystko, co się tyczyło lorda Vaustona, i tak dowiedział się, że nikt obcy nie miał wstępu do zamku, i że zarządcą majątków był pułkownik Palett, krewny lorda, mieszkający blizko zamku w pięknej willi, otoczonej ogrodem. Willę tę, położoną na dosyć wysokim pagórku, można już było widzieć z daleka. Wieś Vaustone znajdowała się nieco dalej, a karczma, jaką się szczyciła, wcale złą być nie miała.

Do tej karczmy postanowił Hamilton się udać.

I gdy nareszcie powóz zajechał, puścił się młody lekarz w drogę z lekkiem, swobodnem sercem, i najlepszą nadzieją powodzenia. Po upływie godziny stanęli na miejscu. Hamilton kazał stangretowi czekać na siebie przy bra-

miesięczny. Niechby ta słaba ofiara tłomaczyła ducha naszego, niechby była rękojmią zbawcy naszemu, iż na wydane hasło: *Bądźcie Polakami,* złożymy w ręce jego życie i wszystkie majątki nasze![1])

Uroczysty akt powitania narodowego, pierwsi z własnej woli ogłosili Sieradzanie, tak szlachta jak i mieszczanie (13 listopada), uchwaliwszy po jednym żołnierzu z dwudziestu domów i ogólne uzbrojenie szlachty. W drugiej połowie listopada stanęły już cztery pułki piechoty, po województwach zbierały się oddziały powstańcze i na własną rękę walczyły z Prusakami. Rozbrojone zostały garnizony nieprzyjacielskie w Kaliszu i Łęczycy, to drugie miasto zajmuje szlachta Łęczycka. W okolicy Częstochowy uzbroił w kosy i cepy 150 żołnierzy stary żołnierz, kapitan Wosiński i dopomógł szwadronowi francuskiemu do wzięcia twierdzy, gdzie było 30 dział i 1000 kilkaset piechoty (18 listopada); Wosiński został komendantem Częstochowy. Wszystkie drobne załogi pruskie pomiędzy Wartą i Wisłą rozbroili wkrótce sami mieszkańcy i deptali wszędzie czarne „pruskie orły“[2]). Zbierało się też na życzenie Napoleona i pospolite ruszenie polskie.

Poruszyła się i Warszawa, której gubernatorem pruskim był wtedy zacny i powszechnie lubiany generał Koehler. Sam on uwiadomił ludność o zbliżaniu się Francuzów, powierzył zwierzchność miasta i dowództwo obywatelskiej straży bezpieczeństwa księciu Józefowi Poniatowskiemu i odjechał sam do Królewca[3]).

Tymczasem dnia 16 listopada przybył do Poznania marszałek Napoleona Davoust w celu agitowania wśród Polaków i za jego to radą wybrała się deputacya polska do Berlina w celu powitania Napoleona.

Dnia 19 listopada 1806 r. odbyło się to posłuchanie z niezwykłą uroczystością. Talleyrand prowadził Polaków przez salę marszałków, w której stali grenadyerzy gwardyi, trzymający 340 sztandarów, zdobytych na Prusakach. W drugim pokoju czekał Napoleon w obecności czterech marszałków, księcia Bergu, Murata i dwóch ministrów. Przemówił do cesarza przewodniczący delegacyi polskiej Ksawery hr. Działyński, wojewodzic kaliski. Napoleon odpowiedział, jak następuje:

— Polacy! dla was to zrządziła cud Opatrzność, iż tak prędko zniszczyłem potęgę pruską. Francya nie uznała nigdy rozbioru Polski, a pamięta usługi oddane przez nią Europie, nie może wszakże przyrzekać, co nie jest w jej mocy. Niezgody wasze zrządziły upadek tego narodu, niech więc przeszłość służy wam za naukę do połączenia waszego. Czego chcą szczerze miliony ludu, to w ostatku stać się musi. Uzbrójcie się więc wszyscy; niech będzie hasłem waszem niepodległość lub śmierć! Czcze słowa nie wystarczą. Tylko siła odbudować może, co siła zniszczyła, tylko zgoda na-

[1]) Pamiętniki Wybickiego, str. 213.

[2]) Morawski, VI, 60.

[3]) Dla nowoczesnych prześladowców może być wzorem ten zacny generał Koehler, nieprzyjacielski pruski gubernator w zabranej Warszawie. Toć on ukochał tę Warszawę, a nawzajem zjednał sobie miłość u mieszkańców, że rozruchy, jakie zdarzyły się, uspakajał sam, bez straży. Nie chcąc wystawić miasta na spustoszenie lub rzeź Moskali, zaprosił ks. Józefa Poniatowskiego do urządzenia milicyi miejskiej i do zajęcia się bezpieczeństwem powszechnem (14-go listopada.) Kiedy już opuszczał Warszawę, rozstawił jeszcze po ulicach swoich kirysyerow, ażeby strzegli miasta od kozackich rabunków. W ostatniej odezwie wynurzył uczucie żalu z powodu rozstania się z mieszkańcami, od których odbierał niewątpliwe dowody przyjaźni i zaufania, i polecił się w niej dobrej pamięci każdego obywatela. Mieszkańcy Warszawy odprowadzili go aż do mostu, żegnali go czule i wzięli w opiekę jego dom i rodzinę. — Morawski, VI, 59, 61

---

mie parku, sam zaś poszedł pieszo do willi pułkownika Palleta.

Pułkownik siedział na werandzie i palił cygaro. Był to bardzo miły i uprzejmy człowiek i nie okazał żadnego zdziwienia, gdy mu Hamilton powiedział, w jakim celu tu przybył. Był on tak przejęty wielkością rodu Vaustonów, że podług jego zdania można było już dzieło o pomnikach i grobowcach zmarłych lordów napisać. Nie potrzeba było szukać innych! Oprócz tego list polecający barona Ravendale, najlepszego przyjaciela lorda otworzył Hamiltonowi także wstęp nietylko do mauzoleum, ale i do galeryi obrazów, do biblioteki, do zbrojowni, jednem słowem do całego zamku.

Wszędzie droga mu była otwartą, a że pułkownik bardzo był rozmownym, przeto uznał Hamilton za stosowne zasięgnąć nieco wiadomości.

— Nowe mauzoleum jest już pewnie skończone, — rzekł w ciągu rozmowy.

— O tak, jest jeszcze kilka tylko drobnostek do wykończenia. Za dwa tygodnie wszystko będzie gotowe!

— Czy rzeźbiarze pracują jeszcze ciągle?

— Nie, został tylko jeden, pan Caradini, bardzo uzdolniony młody artysta, Włoch! Wrócił dziś rano z Londynu i powiedział mi, że w trzech lub czterech dniach skończy wszystko!

— Mam nadzieję, że nie będę mu przeszkadzał w pracy?

— Ale zkądże, kochany panie, ani mowy o tem nie ma! Myślę, że mu będzie nawet przyjemnie mieć w panu towarzysza w tej samotności. Robotnicy pracują teraz z drugiej strony zamku. Ja idę do niego codziennie na pół godziny, aby się zanadto nie nudził!

— Więc to człowiek dobrze wychowany?

— I jak! Miły, dowcipny, wykształcony, zna całą niemal Europę i mówi doskonale po angielsku. Wieczorem przychodzi czasem do mnie, aby mi zaśpiewać kilka pieśni włoskich. Głos ma cudowny i śpiewa tak, jak tylko Włosi śpiewać umieją!

Hamilton zapisywał sobie każde słowo pułkownika w pamięci. Przypomniało mu się, że Henryk Poiton wywarł na Stelli i na ojcu jej początkowo jak najlepsze wrażenie, dzięki swym świetnym darom towarzyskim; Stella mówiła także, że bardzo jest muzykalnym i że śpiewa znakomicie.

— Gdzie można tutaj mieszkać, panie pułkowniku, — zapytał teraz Hamilton. — Gdzie mieszka naprzykład pan Caradini?

— W karczmie we wsi. Skromnie tam, ale porządnie i mogę panu śmiało dom ten polecić.

— W takim razie i ja tam zamieszkam. Myślę, że w dwóch lub trzech dniach skończę moje zadanie.

— Trzy albo cztery dni, kochany panie? Miesiąc co najmniej będziesz pan potrzebował na skopiowanie wszystkich napisów na pomnikach! I po upływie tego czasu powiesz, że pobyt tutejszy bardzo ci się podobał. Gdzie kufry pana?

— Przy bramie czeka powóz na mnie — odrzekł Hamilton — ale jeżeli pan pozwolisz, każę zanieść rzeczy moje do karczmy, a sam pójdę natychmiast do mauzoleum!

— Owszem, pójdę z panem — zawołał pułkownik, odrzucając cygaro. — Zanim pan przybyłeś, zamierzałem iść na przechadzkę, będzie mi teraz tem przyjemniej iść w towarzystwie pana!

Hamilton bardzo był z tego zadowolony i czuł w sercu wielką wdzięczność dla poczciwego pułkownika.

— Pokażę ci wszystkie pomniki, kochany panie Midleton — odezwał się teraz znowu pułkownik — i zwrócę ci uwagę na najważniejsze napisy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

prawi, co niezgoda zgubiła. Francya życzy wam odrodzenia, nie braknie wam jej opieki. Niech magnaci i majętniejsza szlachta stanie na czele, a gdy ujrzą 30 000 do 40 000 waszych ludzi pod bronią, ogłoszą zaraz w Warszawie niepodległość narodu; skoro zaś ja ją ogłoszę, żadna przemoc już jej nie wzruszy! Interesem Francyi jest i całej Europy jest, ażeby Polska byt swój miała.

A więc los wasz jest w naszem ręku[1]).

Tą mową Napoleona, która nie wszystkich zadowoliła, gdyż o przywróceniu Polski mówiła warunkowo, wymagała ofiar i poświęceń, a przytem gromiła Polaków za ich przeszłość, nie zrazili się szczerzy patryoci, nie zrazili się Dąbrowski i Wybicki, prześcigający się w swem gorliwem działaniu. Owszem, im bliżej czynu, tem zapał stawał się coraz większy, a powitanie obejmowało coraz szersze kręgi. I słychać było powszechne zachęcanie się:

— Nie traćmy bracia nadziei, teraz nadszedł czas, w którym spełnią się nasze gorące pragnienia!

Wśród niesłychanego zapału ludności posuwali się Francuzi w głąb ziem polskich. Marszałek Davoust ze swym korpusem dążył ku Warszawie, a przed nim zmykały co tchu niedobitki pruskie i kozacy z przedniej straży generała Bennigsena.

— Ptak, czy dyabeł ten Nepoleon już nam pokrzyżował wszystkie plany i o obronie Warszawy nawet myśleć nie podobna!

Tak wołali zaskoczeni wodzowie wojsk sprzymierzonych, gromadzący w porze jesiennej zwolna swe posiłki, gdy Napoleon działał z szaloną szybkością. Wodzowie rosyjscy zajęli stanowisko na prawym brzegu Wisły. Nadeszła noc z 26 na 27 listopada. Na ulicach Warszawy pusto, tylko z pośród cieni nocy wyłaniają się jakieś szeregi ludu, zwolna, ostrożnie, przybywa ich coraz więcej, już całe tłumy na ulicach, ale tak cicho, bez brzęku, bez łoskotu, bez szelestu nawet, jak duchy zaklęte mkną ku Wiśle... To wojska pruskie i rosyjskie, teraz ostrożne, lękliwe, przesunęły się szybko przez Warszawę; już są na moście, ale most nawet nie zadudni pod niemi; stanęły, wyszedł cichy rozkaz z szeregów pruskich:

— Spalić most!...

I mkną szybko dalej, tylko błyski płonącego mostu strzelają w górę, rzucają się i łamią w falach Wisły, ścigają ponure postacie uciekających...

Nazajutrz (27 listopada) około 6-ej godziny wieczorem od wolskich rogatek rozległ się tentent koni. Przez wyludnione ulice Warszawy przebiegł wyciągniętym kłusem oddział jeźdźców, dobiegł do mostu, a widząc tlejące jego szczątki, zwrócił się nagle na Krakowskie Przedmieście i uszykował się przed kościołem Bernardynów. Na jego czele stał prowadzący go młodzieniec Dziewanowski.

Nagle rozległ się wstrząsający okrzyk radości, który biegł błyskawicą przez całe miasto:

— Francuzi przybyli, nasi wybawcy przybyli, niech żyją Francuzi!

A Dziewanowski ukazując jeźdźców, wołał głośno:

— Oto szwadron 13 pułku strzelców konnych z dywizyi generała Milhaud, dowodzącego przednią strażą!

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) Morawski, VI, 60; Sokołowski IV, 1321 (według współczesnych dzienników polskich.)

# Waryat.

Przekład z angielskiego.

— Jak pan myślisz, czy wyglądam na waryata?

Wpadłem właśnie w miłe zamyślenie, gdy te słowa, wypowiedziane wyraźnie i spokojnie, wpadły mi w ucho. Spojrzałem na mojego sąsiada, siedzącego naprzeciwko mnie. Był to szczupły, drobny człowiek, wyglądający bardzo inteligentnie i ubrany w wspaniały hiszpański płaszcz, podszyty sobolami. Przemówił głosem zupełnie spokojnym.

— Doprawdy panie — odparłem z pewnem zdziwieniem — nic podobnego nie przyszło mi na myśl.

— A jednak jestem waryatem — powtórzył w ten sam spokojny, poufny sposób.

Nie znajdowałem się wcale w usposobieniu do żartów, a że to wyglądało na zaczepkę, odpowiedziałem coś nic nieznaczącego dla pozbycia się natręta i wyjrzałem przez okno. Jechaliśmy pośpiesznym pociągiem, biegnącym z szybkością 50 mil ang. na godzinę. Każda minuta oddalała mnie od kogoś niezmiernie drogiego i nigdy więcej nie pragnąłem ciszy i samotności. Najgorszem wydało mi się to, że jeżeli ten człowiek postanowił sobie rozmawiać ze mną, będę musiał go słuchać, gdyż w przedziale wagonu pozostawiono nas zupełnie samych we dwójkę, a stary system wagonów nie pozwalał na schronienie się do innego „coupe“.

— Tak — mówił dalej — jestem waryatem, uciekłem przed godziną, czy mam panu opowiedzieć, w jaki sposób?

Patrzałem na krajobraz, uciekający z przed oczu i udawałem, że nie słucham.

— Nie zawsze byłem waryatem. Nie pamiętam dokładnie, co mnie do tego doprowadziło, ale zdaje mi się, że grał w tem główną rolę lord Palmerston i as treflowy. Tak, tak na pewne! As treflowy bardzo się do mojego stanu przyczynił. Chociaż teraz to wszystko jedno. Miałem piękny dom, ogrody, służbę i żonę... Ah! taką ładną, miłą, kochaną żonę! Kochałem ją też, nie ma pan pojęcia, do jakiego stopnia ją kochałem, tylko chciałem ją zabić. Kochałem ją tak, że chciałem ją zamordować... Czy to nie kapitalny żart, co?

Zaczęło mi się robić trochę niemiło. Zmierzch zapadał, a twarz mego towarzysza, choć spokojna, miała dziwny wyraz, który mi się niezbyt podobał.

— Panie — wtrąciłem z udaną obojętnością — zmieńmy przedmiot rozmowy. Jeżeli chce pan ze mną rozmawiać, wybierzmy jaki przyjemniejszy temat.

— Przyjemniejszy? Czy można znaleźć przyjemniejszy temat? Słuchaj pan tylko dalej. Dużo czasu upłynęło, zanim się spostrzeżono, co się ze mną dzieje, bo umiałem ukrywać swoje myśli. Ale ja dobrze wiedziałem, że poczynam tracić rozwagę umysłową, bo widywałem ludzkie twarze wszędzie: w meblach, na drzewach, między gałęziami, w krzakach, a wiedziałem, że ich tam niema, więc domyśliłem się, że jestem waryatem. Oddawna się tego spodziewałem, jeszcze kiedy chodziłem do szkoły, jako mały chłopiec.

Jak oni to poznali pomimo mojej chytrości! Tak się pilnowałem! tak się pilnowałem! Domyślili się przecie i pewnego dnia przyszło dwóch ludzi, złapali mnie w ogrodzie, w moim własnym ogrodzie i zawieźli do domu waryatów. Smutne to miejsce — dom waryatów. Zamknięto mnie w pustym pokoju, ognia nie rozpalono, chociaż to była zima. Okna miały żelazną kratę, przez którą słońce przeświecało, jak przez żebra kościotrupa. I czy pan uwierzy? zaczęła mnie tu odwiedzać jakaś straszna postać... siadała przy mnie, szydziła i szczypała mnie. Istne piekło do-

# Lekarstwo na febrę.

(Smutny obrazek z życia.)

Marcin Czop, koledziej i specyalista od nastawiania złamanych kości, Wojciech Sęk, kowal, znający się na chorobach bydlęcych i Marcycha Kołowrot, zamawiaczka różnych przypadłości ludzkich — zebrali się po zachodzie słońca w izbie Łukasza Gapy, wezwani przez niego na naradę do chorej żony.

Łukaszową od pewnego czasu febra trzęsła. Nie zmogły choroby zioła, ani zaklęcia. Nie pomógł kobiecie rak żywcem przez nią zjedzony, nie mówiąc już o wódce z pieprzem i tłustością. Uporczywa febra powaliła biedną ofiarę na łoże boleści, z którego miała ją podźwignąć walna narada lekarska doświadczonych kumotrów.

— Trza słabość wypędzić „strachem" zadecydował Czop.

— Można spróbować — potwierdził Sęk.

— Ryzyk-fizyk — ponowił Czop.

Fuzyi od gajowego pożyczyć i wystrzelić prochem do chorej — ciągnął Sęk.

— A juści! — wzruszyła ramionami Marcycha, przepijając do kumotrów. — Chcecie ją tak zabić, jak łońskiego roku Grzela zabił babkę swoją...

— Ba — przerwał Sęk — któż mu kazał szmatą nabój przybijać? Trafił w serce i amen...

— Moja rada — wrzucić Magdę do rzeki — odezwała się Marcycha.

Chłopi spojrzeli po sobie.

— Jakże wy, Łuko, miarkujecie? — przemówił Czop.

— Dyć wy macie swój rozum na to — zadecydował Gapa.

— Marcycha dobrze radzi — mruknął Sęk. „Frybra" zlęknie się i wyskoczy.

— Kobietę waszą zimnica trzęsie — to klin klina wybije — dodała znachorka.

— Jak na ten przykład — wtrącił Czop. Jeden pieron budynek zapala, a po nim drugi trzaska i ogień gasi...

— Ha! — machnął ręką Gapa — próba frei.

Znachorka, dumna, że jej pomysł znalazł ogólne uznanie, zbliżyła się na palcach do łóżka chorej i przyzwała ręką chłopów.

— Śpi twardo — szepnęła. Okręcić jej żywo głowę chuściskiem i do rzeki! Wy Łuko, wsiądźcie do łódki. Przeczekacie do trzeciego krzyku i zaraz ją chwytać i lądować do brzega. Ja tu tymczasem wyszykuję posłanie, pierzynę ogrzeję.... No, bierzta ją razem, a trzymać mocno, żeby się nie wyrwała!

W chwilę po tej scenie rozległ się głośny plusk w rzece i rozpaczliwy krzyk tonącej. Gapa, trzęsąc się nerwowo siedział w łódce i liczył.

Po trzecim, zdławionym wodą okrzyku, ruszył na środek rzeki.

— Macie ją? — spytali, rozpatrując się w ciemnościach kumotrowie.

— Jest! jest! — wołał Gapa radośnie, holując nieprzytomną Magdę do brzega.

Gdy nieszczęśliwą ofiarę medycyny wiejskiej wydobyto z wody i przyniesiono z powrotem do chałupy — znachorka spojrzała zmieszana, pokiwała smutnie głową i rzekła:

— Stało się! Trza Magdzie trumnę szykować....

— Magda! Magda! — jęknął głucho Gapa, przypadając do trupa żony.

— Trudno i darmo — przemówiła uroczyście znachorka. — Okrutnie zawzięta „frybra" w tem ciele siedziała, kiedy duszę z sobą wzięła.



prawdy. Nie mogłem dłużej wytrzymać i pewnej nocy rzuciłem się na tę postać, pasowałem się z nią i biłem nią o ścianę. Wtedy dozorcy przybiegli i przywiązali mnie do łóżka. Słyszałem, jak mówili między sobą, że chciałem się zabić, ale to nieprawda. Pragnąłem zabić tę postać. Oni jej nie widzieli, chociaż przepędzili przy mnie całą noc, a ohydna postać ciągle się kręciła po pokoju i mówiła do mnie. Nie wiem, jak długo trwał mój szał, lecz zdaje mi się, że bardzo długo... W końcu, raz kiedy się obudziłem po niespokojnej nocy, nie zauważyłem więcej owej postaci. Rozpłakałem się z radości, że się od niej uwolniłem i czułem się dumny, dumny, że ją zwyciężyłem — nareszcie. Czas upływał a wciąż mnie pilnowano, więc postanowiłem uciec. Jak pan sądzisz? jak się wziąłem do roboty? Co dzień doktór zaglądał do mnie, ale po drodze wstępował do innych chorych. Wiedziałem więc kiedy nadchodzi, zanim drzwi mojej celi otworzył. Chciałem, żeby uwierzył, że jestem zupełnie zdrowy. O! ciężkie miałem zadanie, ale udało się. Najgorsze, że nie mogłem powstrzymać różnych dziwacznych myśli i kiedy zaczynałem mówić, mój język sam je wypowiadał. A przecież nauczyłem się mówić do doktora. Wprawiałem się w mowę cichą i spokojną; uczyłem się całych zdań rozsądnych i obojętnych. Nie mówiłem wiele, ale to, co mówiłem, nie zdradzało najmniejszego zboczenia, tego jestem pewny, przytem zwierzałem się dozorcom, że czuję znaczne polepszenie i tylko pragnę trochę swobody, bo mnie zamknięcie męczy.

Pytałem się także czasem (to można nazwać wprost genialnem) o moją żonę. Pan wie, że waryaci nie dbają o swoje rodziny? Po pewnym czasie odwiedziła mnie moja małżonka. Nie ma pan pojęcia, ile mnie kosztowała wysiłku ta wizyta! Tak pragnąłem rozszarpać to blade, drżące ze strachu ciało! Jednak zapanowałem nad sobą, usiadłem przy niej i pocałowałem ją nawet w policzek, chociaż myślałem, że zawyję z wściekłości.

Nie wiem, czy mnie ciągle jeszcze podejrzewano, al[e] nie zwolniono dozoru, mimo trudu, który sobie zadałem. Postanowiłem zachorować. Wiedziałem, że doktor poznał[by] by się na udanem cierpieniu, więc głodziłem się umyślnie. Ha! ha! Czy to nie doskonałe? Oto tak robiłem. Co dzie[ń] zamiast jeść, co mi przynoszono, chowałem połowę pod ru[-]choma deskę podłogi, a połowę zostawiałem, mówiąc, [że] jestem chory i że nie mogę jeść więcej. Co dzień zostawi[a]łem więcej tak, żeby myśleli, że z każdym dniem mam gor[-]szy apetyt. I rozchorowałem się; jadłem tylko tyle, żeb[y] nie umrzeć z głodu. Cierpiałem strasznie, ale dalej grałem moją rolę i spokojnie znosiłem badawczy wzrok doktora.

W końcu kazał mnie przenieść do innego pawilo[nu] i zalecił wyprowadzać mnie często na świeże powietrz[e] mówiąc, że inaczej nie wyzdrowieję. Ani się nie uśmiechn[ą]łem, gdy to powiedział, żeby się nie zdradzić z radości, [że] mi się powiodło wyprowadzić go w pole.

Moje nowe mieszkanie robiło daleko przyjemniejsz[e] wrażenie od dawnego; okna wychodziły na ogród. W k[oń]cu ogrodu wznosił się tor kolejowy. Tędy pragnąłem ucie[c]. Oh, co za radość pędzić tak za maszyną dalej, dalej i ni[gdy] się nie zatrzymać. Wiedziałem dobrze, że trzeba mieć to pieniądze. Pieniądze! Skąd je wziąć? Zobaczysz p[an]. Nie chciałem wcale umierać, jadłem lepej i nabrałem [sił]. Nie każdy, przyzna pan, potrafi tak dobrze wytrzymać [do]browolny głód. Waryaci to dzielni ludzie!

(Dokończenie nastąpi).

## Ś. p. Ks. Arcybiskup
## Dr. Floryan Stablewski.

Arcybiskup dr. Floryan Stablewski, herbu Oksza, urodził się dnia 16-go października r. 1841 w Wschowie. Uczęszczał do gimnazyum w Trzemesznie, potem był w seminaryum duchownem w Poznaniu, następnie studyował w Monachium, gdzie został promowanym na doktora teologii. W roku 1860 otrzymał święcenie kapłańskie. W roku 1873 został proboszczem we Wrześni i jako takiego mianowano go wkrótce szambelanem papieskim i pronotaryuszem apostolskim.



Ś. p. Ks. Arcybiskup
Dr. Floryan Stablewski.

Od roku 1876 — 1891 należał jako poseł do pruskiego sejmu a po płynnym i wytrawnym sposobie mówienia poznano w nim zaraz obok wymownego kapłana wytrawnego parlamentaryusza. W r. 1891 został mianowany Arcybiskupem Gnieźnieńsko-Poznańskim i tak przejął stanowisko, które zapewne należało do najtrudniejszych w obecnych czasach.

Kto nie znał bliżej ks. Arcybiskupa Stablewskiego, ten nie mógł nabrać właściwego pojęcia o tym mężu wielostronnyn o głębokiem wykształceniu, który będąc duchownym, był zarazem artystą. Sądził on, że zostając Arcybiskupem, skończył razem z złożeniem mandatu poselskiego, swoją karyerę polityczną, ale różne prądy stronnicze usiłowały nieustannie wciągnąć go w wir polityczny. To też potrzeba było niezmiernie wiele energii i doświadczenia, aby tak zachować całą powagę swego stanowiska, jak zachował ją ks. Arcybiskup.

Trudności stanowiska naszego Arcypasterza w ostatnich mianowicie czasach występowały jaskrawiej i dobitniej. Wobec reskryptu ministeryalnego, znoszącego polski język przy nauce religii, znalazł się nasz Arcybiskup w nader trudnem i przykrem położeniu.

Smiałem swem, a stanowczem wystąpieniem w ostatnim swym liście pasterskim dał nam Arcypasterz dowody, że umie bronić praw sobie przynależnych i dobra powierzonych sobie dyecezyan. Widzieliśmy w nim godnego następcę dawnych Prymasów polskich i ostatnich naszych polskich Biskupów jak Dunin i Ledóchowski.

Zmarł w bardzo krytycznej, ale wzniosłej chwili walki o naukę religii.

Wieczny odpoczynek racz Mu dać Panie a światłość wiekuista niech Mu świeci na wieki wieków!

# Arcybiskupi Gnieźnieńscy i Prymasi.

Stanowisko i urząd Arcybiskupa gnieźnieńskiego był w dawnej Polsce pierwszym po monarsze. Wogóle Biskupi zajmowali w senacie polskim, dzisiejszej izbie panów państw konstytucyjnych, pierwsze miejsce i stawali po obu stronach królewskiego tronu. — Nawet gdy w roku 1506-ym świeccy senatorowie czując się przez to pokrzywdzonymi, domagali się, aby Biskupi jednę tylko zajmowali stronę tronu, a drugą im zostawili, król Aleksander sprawę rozstrzygnął na rzecz Biskupów i po obu stronach tronu nadal im stawać pozwolił. To odznaczenie senatorów duchownych przyznano im jako stróżom panującej wiary oraz jako mężom największej podówczas w kraju nauki.

Polska miała dwóch tylko Arcybiskupów: gnieźnieńskiego i lwowskiego. Biskupów było piętnastu, a mianowicie: krakowski, kujawski, wileński, poznański, płocki, warmijski, lubelski, łucki, przemyski, żmudzki, chełmiński, chełmski, kamieniecki, inflancki i smoleński.

Sejm w Lublinie w r. 1569 ustanowił powyższy porządek ich pierwszeństwa. Krakowskiemu przeto Biskupowi należało się pomiędzy Biskupami pierwszeństwo, ostatnim zaś był Biskup smoleński. Między Biskupami wileńskim a poznańskim oraz warmijskim a łuckim zmieniało się kolejno prawo pierwszeństwa, każdy z nich miał to celować nad drugim, to ustępować mu pierwszeństwa.

Co się tyczy tytułów Biskupów, to król i akta publiczne samemu tylko Arcybiskupowi gnieźnieńskiemu nadają tytuł „Najprzewielebniejszego" — Reverendissimus — Arcybiskupowi lwowskiemu i Biskupowi krakowskiemu tytuł „Przewielebność" — ad modum Reverendus — innym zaś Biskupom tytuł „Wielebnego" — Reverendus. Biskupowi przy herbach swoich dodawali herb krzyżujący się z pastorałem, idąc za przykładem Biskupów niemieckich, mających świecką zwierzchność. Biskupi w późniejszych czasach nie byli wybierani przez kapituły, lecz mianowani przez królów polskich i potwierdzani przez Papieży. Nie wolno im też było mieć dwóch biskupstw równocześnie. Dwaj tylko Biskupi stanowią w tym względzie wyjątek, a mianowicie Arcybiskupi gnieźnieńscy: Fryderyk, syn Kaźmirza Jagiellończyka i Piotr Gamrat.

Biskupi mogą mieć swych koadjutorów, którzy nie są senatorami i zostają dopiero nimi, gdy otrzymają biskustwo. Koadjut[illegible] na prośby Biskup[illegible] ku lub z innych [illegible] cych pomocy i w[illegible] jutorów różnią s[illegible] których mianuj[illegible] mocy, lecz którz[illegible] biskupstwa prawa[illegible] pi bez biskupstw, [illegible] udzielonego im od [illegible] nie mają i zowią się B[illegible] tibus infidelium.

Arcybiskup gnieźnieński Polski i Litwy jest Prymasem, który to tytuł Mikołaj Trąba wyjednał dla siebie i swych następców w r. 1417 na soborze



**Kościół katedralny w Gnieźnie.**

konstancyjskim. Powodem do tego była ta okoliczność, że w jego nieobecności Arcybiskup lwowski koronował trzecią żonę Władysława Jagiełły. Arcybiskup gnieźnieński jako Prymas po śmierci króla jest namiestnikiem królewskim, rządzi krajem, zwołuje sejm elekcyjny, temu przewodniczy i nowo wybranego króla narodowi ogłasza.

W r. 1515 przybyła Arcybiskupom gnieźnieńskim nowa godność, a mianowicie: Urodzonego Posła papieskiego — Legatus natus. Na prośbę Zygmunta I, Papież Leon X przyznał tytuł ten na drugim Lateraneńskim Soborze Arcybiskupowi Janowi Łaskiemu. Skutkiem tego Arcybiskupi gnieźnieńscy [illegible]iołami nie tylko [illegible]wską, ale i [illegible] W nieobec[illegible]wali sobie [illegible]go jurys[illegible]ądy nun[illegible] innemi [illegible]azywali [illegible]siążętami [illegible]gę i wła[illegible]rodzonymi ka[illegible]ąd poszło, że gd[illegible] książę Mazowiecki w[illegible] przez Arcybiskupa gnie[illegible] za powieszenie Jana Czapli, kanclerza swego, a zarazem kujawskiego i płockiego scholastyka, klątwę z niego zdjęto pod warunkiem, iż miasto Łowicz miało być kościołowi gnieźnieńskiemu darowanem i Arcybiskupi gnieźnieńscy po wsze czasy mieli posiadać jednę kanonię płocką wraz z jej dochodami. Od tego czasu Arcybiskupi gnieźnieńscy byli równocześnie kanonikami płockimi i ztąd kanonikami urodzonymi się zowią. W Łowiczu też, w którym później wznieśli wspaniały zamek, chętnie i dłuższy czas spędzali.

Arcybiskupi gnieźnieńscy wykonywali także swe prawa metropolity przez to, że nowych Biskupów zatwierdzali i

wyświęcali. Po śmierci króla Ludwika zatwierdzenia te ustały. Do oznak metropolitalnej i prymasowskiej powagi należało, że mogli zdejmować klątwę rzuconą przez innego Biskupa. Tak n. p. Arcybiskup Radziejowski zdejmował dwa razy klątwę z wojewody wileńskiego, rzuconą nań przez Biskupa wileńskiego. Mieli także prawo zwoływania innych Biskupów na synody, w których przewodniczyli. Jeżeli król zbaczał od przepisów publicznych praw, miał Arcybiskup gnieźnieński prawo upomnienia go. W senacie zaś zawsze pierwsze zajmuje miejsce, chociażby który z Biskupów był kardynałem. Tak samo jak Kardynałowi, tak i Nuncyuszowi papieskiemu nie ustępuje miejsca Arcybiskup-Prymas. Arcybiskupowi Janowi Wężykowi, robiono nawet wyrzuty z tego powodu, iż ustąpił pierwszeństwa Nuncyuszowi papieskiemu.

Prymasi używali purpury od dawna, co potwierdził Papież Benedykt XIV Arcybiskupowi Adamowi Komorowskiemu w r. 1749 dla niego i następców. Gdy Arcybiskup gnieźnieński wjeżdżał do miasta, w którem miał się sejm odbyć, senatorowie obecni udawali się naprzeciw niemu lub przysyłali próżne karety dla nadania wjazdowi jego świetności. Bito przy tem w kotły i grano na trąbach. Gdy pierwszy raz dla powitania króla z pałacu swego do zamku się udaje, odprowadza go kilku senatorów, a na schodach przyjmują go podkomorzowie królewscy. Naprzeciw wchodzącemu na pokoje królewskie postępuje król naprzód trzy kroki i rękę do ucałowania mu podaje. Od czasów Kaźmierza Wielkiego statuta orzekają karę grzywien na tego, ktoby się odważył wobec Arcybiskupa gnieźnieńskiego ohydne wyrzec słowo, lub dobyć miecza, albo puginału.

Do zewnętrznej świetności Prymasa przyczynia się to, że niesie przed nim publicznie laskę jeden z jego marszałków, wybieranych zwykle z niższych kasztelanów. Prócz tego krucyfer, zwykle jeden z kanoników, niesie przed nim krzyż i nawet w senacie stoi przy Arcybiskupie z krzyżem. Prymas ma nadto swego kanclerza i referendarza, liczny poczet sług i własne gwardye. Wolno mu samemu tylko przy królu, gdy w Warszawie bawi, kotłów używać i gdy do stołu zasiada.

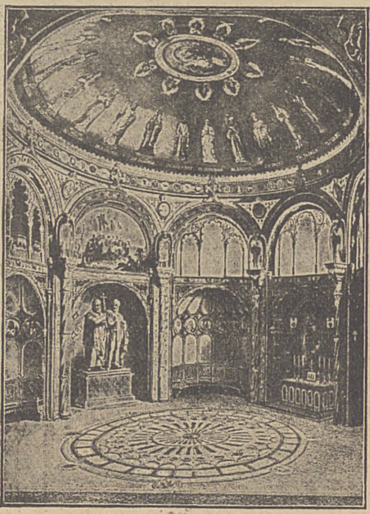
Godność Arcybiskupów gnieźnieńskich, jak już powiedzieliśmy wyżej, była nie mała. Gdy król z kraju się oddali, Arcybiskup gnieźnieński stoi niejako na straży kraju i obowiązkiem jest jego o wszystkich krajowi grożących niebezpieczeństwach donosić. Może się także radzić senatorów w sprawach samemu wątpliwych, ale nie wolno mu niczego na własną rękę stanowić, lecz czekać do powrotu króla. Tak n. p. gdy Zygmunt III bawił w Szwecyi, Arcybiskup gnieźnieński i senato-



**Kościół katedralny w Poznaniu.**

rowie odpowiedzieli posłom cesarza do przymierza przeciw Turcyi wzywającym, iż bez króla nic postanowić nie mogą.

Wiadomo, że od śmierci Zygmunta Augusta rządzili Polską nie królowie dziedziczni, lecz elekcyjni, wybierani przez wolny wybór wszystkich stanów



**Kaplica królewska t. zw. „Złota“ w katedrze poznańskiej.**

królestwa. Przy tych to elekcyach, jak już wyżej nadmieniliśmy, Arcybiskup gnieźnieński i Prymas najważniejszą odgrywał rolę. On to bowiem po śmierci króla zastępuje panującego aż do wyboru nowego króla, zwołuje sejm elekcyjny i nowego wybranego króla uroczyście narodowi ogłasza.

Po śmierci króla wydaje Arcybiskup gnieźnieński tak zwany uniwersał, którym powołuje stany na sejmy i sejmiki. Jeżeli w czasie śmierci króla nie ma Prymasa w Warszawie, w takim razie tam zjeżdża i naradziwszy się z senatorami, ogłasza śmierć królewską i oznacza dzień na sejmiki wojewódzkie i sejmu. Stanom zaś zaleca to wszystko, co uważa pożytecznem i potrzebnem dla kraju, starostom nadgranicznych zamków rozkazuje nie puszczać cudzoziemców do kraju, oraz posłów cudzoziemskich zatrzymywać na granicach, póki im listu wolnego wjazdu do kraju nie wyda.

Po ogłoszeniu bezkrólewia przestają funkcyonować wszystkie sądy, a miejsce ich zajmują tak zwane sądy kapturowe, od kaptura, nakrycia głowy pochodzące. Razem z bezkrólewiem kończą się te sądy kapturowe t. j. zawieszają się już trzy tygodnie przed sejmem elekcyjnym i na czas jego trwania. Sejm elekcyjny poprzedza tak zwany sejm konwokacyjny, zwoływany przez Prymasa, który też takowemu przewodniczy. Na sejmie konwokacyjnym, odbywanym zawsze w Warszawie ustanawia się dzień i miejsce elekcyi króla, oraz wszystko to, co stany uznają za właściwe do należytego odbycia elekcyi, oraz bezpieczeństwa wewnętrznego i zewnętrznego. Przedział czasu pomiędzy sejmem konwokacyjnym a elekcyjnym bywał różny. Najdłuższym był po śmierci Jana III, bo trwał przez ośm miesięcy od 18 września aż do 15 maja następnego roku, na który to dzień naznaczonym był wybór króla. Wybierano zaś królów na polu pod Warszawą, pod wsią Kamionną za Wisłą. Po Henryku Walezyuszu stałem miejscem wyboru króla było pole pod Wolą z tej strony Wisły. Miejsce, w którem przed wyborem króla narady się odbywają, jest rowem i wałem okopane i ma trzy bramy: jedną na wschód dla Wielkopolski, drugą na południe dla Małopolski i trzecią na zachód dla Litwy. Dla senatu zbudowanym jest budynek drewniany, „Szopa“ zwany. Zewnątrz tego budynku zbierają się posłowie stanu rycerskiego i miejsce to zowie się „ kołem rycerskiem,“ lub po prostu „kołem.“ Szlachta zjeżdżająca oprócz posłów na elekcyą, mieści się opodal nieco od koła, pod namiotami, wedle województw, do których należy.

W dniu otwarcia elekcyjnego sejmu Arcybiskup gnieźnieński, lub Nuncyusz papieski odprawia dla stanów nabożeństwo w kościele św. Jana, a jeden z Biskupów ma kazanie. Z kościo-

ła udają się posłowie do „koła“, gdzie wybierają sobie marszałka. Powaga marszałka wpływała niemało na wybór króla, dlatego też wybór jego trwał nieraz kilka tygodni, gdy różne między sobą zacięcie walczyły stronnictwa. Tak np. w roku 1697 dopiero po miesiącu wybrała szlachta marszałka sejmowego koła. Po wyborze marszałka trzech posłów oznajmia to senatorom, którzy znowu przez trzech posłów z swego grona stan rycerski do siebie zapraszają. Po połączeniu się izb i wzajemnem pozdrowieniu się marszałka i Prymasa, ostatni zaleca to wszystko, o czem mają radzić połączone izby, oraz przyspieszenie elekcyi króla. Oznajmia nadto stanom to wszysttko, co zaszło od czasu sejmu konwokacyjnego.

Gdy nadejdzie dzień wyboru króla, senatorowie i posłowie w kole sejmowem się zbierają, a szlachta podzielona na województwa, na koniach rezultatu głosowania oczekuje. Do zebranych w kole stanów ma Prymas przemowę i wymieniwszy kandydatów do tronu, klęcząc śpiewa hymn „Veni creator,“ na pomyślność wyboru, a wszyscy klęcząc mu wtórują. Po odśpiewaniu hymnu Prymas powstawszy, znakiem krzyża żegna senatorów i posłów i polecając ich Trójcy św. do właściwych województw odsyła, sam zaś z marszałkiem poselskim czeka w kole na rezultat głosowania. Gdy ogólna nastąpi zgoda, senatorowie i posłowie poszczególnych województw i ziem osobno głosujących, przynoszą głosy do sejmowego koła, które szlachta zbliżywszy się na koniach, w okół otacza. Głosy każdego imiennie wywoływanego przez marszałka posła województwa i każdej ziemi, jeden z posłów głośno odczytuje. Następnie Prymas wśród „koła“ konno objeżdżając po trzykroć otaczających zapytuje, czy wszyscy godzą się na jednego. Skoro: zgoda! wykrzykną i nikt się nie sprzeciwi, Prymas króla ogłasza, życząc mu równocześnie szczęśliwych rządów. Potem poleca marszałkom, wielkiemu koronnemu i litewskiemu proklamowanie króla, którzy przy każdej „koła“ bramie oznajmiają„ iż król został zgodnie przez wszystkich wybrany i należy go uznać za prawego monarchę. W razie zaś gdyby ktokolwiek sprzeciwił się wyborowi, nie wolno wedle ustaw proklamować króla, na którego wszystkie stany zgodzić się musza. Po ogłoszeniu króla szlachta nie będąca posłami do domów się rozjeżdża, a stany obradują dalej nad koronacya wybranego króla i sejmikami poprzedzającemi sejm koronacyjny. Po załatwieniu wszystkich spraw oraz zaprzysiężeniu przez króla, jeśli jest obecnym a w nieobecności przez jego posłów, tak zwanych „pacta conventa“, to jest umów pomiędzy monarchą a narodem, przypominających dzisiejsze konstytucye, sejm elekcyjny się kończy, a okopy, rowy i całe koło sejmowe się zasypuje. Wszystkie zaś uchwały sejmu elekcyjnego, ogłoszenie króla i zaprzysiężone przezeń „pacta conventa,“ zbierają się w jednę księgę, drukiem ogłaszają i zamieszczają między ustawy kraju. W taki to sposób odbywał się dawniej w Polsce wybór króla, kierowany przez Arcybiskupów gnieźnieńskich, czyli Prymasów, mających po monarsze pierwszą godność w kraju.

*K. Kozłowski.*

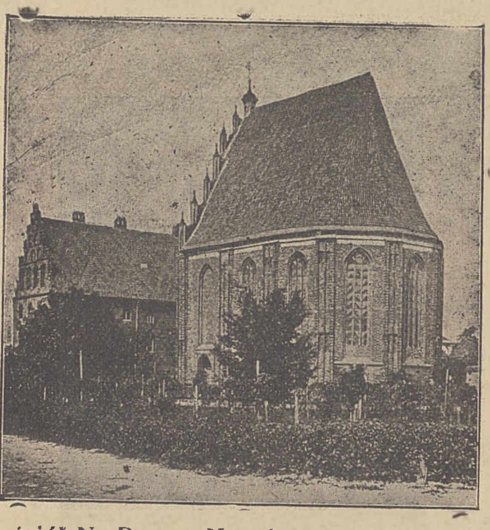
# Z dziejów upadku Prus.

(Wspomnienie historyczne)

## IV.

## Napoleon w Poznaniu.

Dnia 27-go listopada 1806-go roku przybył Napoleon z Berlina do Poznania. Dąbrowski z Wybickim mieli wówczas już 10 000 Polaków pod bronią. Trudno opisać radość i zapał, jaki opanował mieszkańców grodu Przemysława i wogóle całej Wielkopolski na widok bohatera, który zadał dotkliwe klęski trzem zaborczym rządom.



**Kościół N. Panny Maryi przy kościele katedralnym w Poznaniu.**
(Patrz artykuł p. t : „Śp. Ks. Arcybiskup Dr. Floryan Stablewski“).

Dąbrowski uformował gwardyę honorową dla przyjęcia Napoleona.

„Przed przybyciem Napoleona — pisze generał Dezydery Chłapowski w swych „Pamiętnikach“ — gwardya honorowa mustrowała codziennie na polu, od strony Buku za wiatrakami, ćwiczyła się w obrotach plutonowych i szwadronowych. Umiński zrobił mnie adjutantem szwadronu i instruktorem, wiedział bowiem, że cztery lata służyłem był w dragonach, który na ówczas pełnili służbę jazdy i piechoty. — Była to formacya pierwiastkowa dragonów, zkąd też ich nazwa, później zmieniono ich w Prusach na lekką jazdę.

Będąc w służbie pruskiej, tylko sześć tygodni na rok, podczas manewrów jesiennych, bywałem przy regimencie, resztę czasu odbywałem nauki w Berlinie w szkole wojennej [1]) udzielane wtedy przez oficerów artyleryi i inżynieryi, z których kilku później się wsławiło, jako to generał Scharnhorst, wówczas kapitan i nasz profesor, a później twórca obrony krajowej (Landwehr), moim zaś nauczycielem czyli raczej korepetytorem był porucznik Perlitz — z nim powtarzałem to, co na kursie było wykładanem. — Służyłem od roku 1801 do 1805-go. W tym ostatnim roku, gdy ów regiment dostał rozkaz marszu nad Ren, ojciec mój, nie chcąc, żebym przerywał nauki, wyrobił u komenderującego nim generała Brüsewitz, wymazanie moje z kontroli i pozostałem w Berlinie aż do wejścia tam Francuzów 1806 r.

Ztąd to Umiński użył mnie najmłodszego może z gwardyi honorowej do uczenia mustry, której sam wtedy nie umiał, ponieważ chociaż był adjutantem przy Madalińskim, w liniowym pułku żadnym nie służył, nauczył jej się dopiero później. — Piesza służba bardzo dobrze poszła z tak chętnymi obywatelami, z jakich była złożona gwardya honorowa, ale konna była bardzo trudna, gdyż wszyscy mieli konie za żywe do szeregu, i równania się zawsze psuły.

Do szeregu należy unikać za żywych koni, zawsze one się dosyć ożywią połączone razem. — Przyjemne to wspomnienie, że w tej gwardyi służyli: Suchorzewski, Morawski, Tomicki, Ziemecki, późniejsi generałowie. Zjeżdżali się także jeden po drugim z Włoch, nasi legioniści, generał Kosiński, Sokolnicki, Downarowicz, Sierawski, Hauke, Cedrowski etc., etc. Serdeczne były ich powitania z nami.

Pierwsza dywizya piechoty francuskiej z korpusu Davousta, która przymaszerowała, dziwne na mnie zrobiła wrażenie. Wyjechało nas naprzeciw niej kilkunastu, spostrzegliśmy o milę od miasta całe pole pokryte pojedyńczymi żołnierzami, w surdutach różnej barwy, nieśli wszyscy broń kolbą do góry i szukali suchych

[1]) Nazywała się Artillerieacademie.

przepraw po polach, na drodze bowiem było błoto po kolana.

Przed samem miastem, obok wiatraków, uderzono w bębny, zbiegli się wszyscy i stanęli w kolumnie szeregami, w mgnieniu oka pozwijali płaszcze, popoprawiali kapelusze na głowie (cała liniowa piechota jeszcze wtedy nosiła kapelusze trójrogate) wojsko jak najregularniejsze się zjawiło, maszerując z muzyką na czele, krokiem żywym podwójnym do miasta. — Stanęli około rynku, broń w kozły złożyli, dobyli szczoteczek, trzewiki pochędożyli z błota i żwawo bawić się pomiędzy sobą zaczęli, jak gdyby zaku. — Z historyi wojen wiedziałem, że piechota bitwy wygrywa, a najczęściej ona je rozstrzyga, a lubo niekiedy jazda je także decyduje, to zazwyczaj, po wygranej dopiero, korzyści odnosi.

— Przypatrując się tej dzielnej i tak lekkiej francuskiej piechocie, zrozumiałem to lepiej, i utwierdziłem się w myśli zaczęcia służby mojej na wojnie w piechocie.

Przyszła nareszcie wiadomość, że cesarz Napoleon przybywa do Poznania. Wymaszerowała zaraz cała nasza gwardya honorowa i miała stanąć za Międzyrzeczem, aby przyjąć go na granicy polskiej, ale pod Bytyniem, gdzieśmy pod wieczór stanęli, cesarz nadjechał w nocy i kazano nam go eskortować, przed i za karetą; strzelcom konnym gwardyi, to jest pikiecie z 25 ludzi i jednego oficera złożonej, która go dotąd eskortowała, kazano maszerować za nami, zapewnie ażeby okazać nam zaufanie.



Najprzewielebniejszy Ks. Arcybiskup w swej pracowni w Poznaniu.
(Patrz artykuł p. t.: „Śp. Ks. Arcybiskup Dr. Floryan Stablewski").

miast 150-ciu mil, jedną tylko milę marszu byli odbyli.

Przypatrywałem się ze zdumieniem tej piechocie złożonej z tak ochoczych ludzi, dotąd niezwyciężonych. Wszyscy jakby do tańca gotowi. Nie taką kilka tygodni temu widziałem wychodzącą piechotę z garnizonu, w tej każdy żołnierz wyższy o głowę od tamtych, barczysty, daleko silniejszym być się wydawał, ale sztywny, nie ruchawy, uszedłszy pól mili, skoro kolumna stawała, pokładał się do spoczynku.

Ciemna noc była i tylko turban biały na głowie mameluka Rustana, który siedział na koźle karety cesarskiej, widać było. — Z generałem Dąbrowskim rozmawiał cesarz z karety podczas przeprzęgu i po kilka razy w drodze, ponieważ po wielkiem błocie wolno tak ciężkim powozem jechać musiano.

Stanąwszy w Poznaniu w gmachu pojezuickim, kazano nam 25-ciu gwardzistów zostawić na służbie, i pokój dobry na dole nam przeznaczono.

Nazajutrz około 10 z rana, cesarz siadł na konia, cała gwardya nasza już czekała na podwórzu, kazano czterem ruszyć naprzód przed cesarzem a reszcie za nim. — Cesarz prosto przez most, drogą ku Warszawie, po największem błocie galopem dojechał do Swarzędza, za miasteczkiem skręcił w prawo w pole, wyszukiwał pagórków, na których zatrzymując się, przypatrywał się na około otwartym polom, jakby armią przed sobą i w około siebie widział. — Ponieważ byłem najczęściej przy czterech naszych na przodzie, mogłem mu się dobrze przypatrzyć, kiedy się zatrzymywał i zdawało mi się, żem go już dawno był widział, tak portrety jego były podobne, zwłaszcza te, które go wystawiały na koniu. — Trudno było jednak kolor oczu rozpoznać, tak były ciągle w ruchu, że niepodobno było im się przypatrzeć, zdawały mi się naówczas ciemne, a to zapewne dla tego, że były głęboko osadzone. Później będąc bliżej i często z nim rozmawiając widziałem, że były bardzo jasne. Mówiąc nie patrzał w oczy temu, z kim mówił ale na dół lub na bok, czasem tylko spojrzał prosto w twarz.

Powróciliśmy do miasta około 5-ej wieczorem.

Drugiego dnia wyjechał znów konno około południa i kazał się prowadzić tak, żeby zobaczyć pałac polski.— Ruszył zaraz za miastem drogą ku Stęszewu galopem i nie stanął aż w Konarzewie.

Trzeciego dnia pobytu kazał jechać w przeciwną stronę. — Najprzód około Winiar, tam stawał kilka razy i okolicę przepatrywał, potem polami i przez błoto, w którem ledwo że z koniem nie uwiązł, a eskorta za nim przejechać już nie mogła, bo nasze konie, koń cesarza i kilku generałów, którzy przejechać nie mogli, rozbiły błoto do nieprzebycia. Tak z nami i z dwoma szaserami francuskimi, zajechał do Radojewa, przewiózł się na promie do Owińsk i tam klasztor próżny oglądał. — Pytał się, jakim sposobem te dobra teraz do Treskowa należą? Mogłem zaspokoić jego ciekawość, bo przypadkiem znałem tę rodzinę. Ciotka moja, pani Engestroemowa, Chłapowska z domu, w ich domu

w Berlinie mieszkała, a ja zawsze w niedziele u niej na obiedzie bywałem. — Ciotka moja w roku 1804-ym bardzo grzecznie w Berlinie przyjęła marszałka Duroc, który przybywszy tam w nadzwyczajnem poselstwie, z oznajmieniem koronacyi cesarza, znalazł wszędzie, oprócz domu mojej ciotki, zimne przyjęcie, bo Francuzów w Berlinie nie lubiono, a jeszcze ich się nie bano. — Marszałek Duroc przypomniał sobie moją ciotkę i jej grzeczne przyjęcie, zapewne o tem cesarzowi powiedział i może być, że dla tego, jakieśmy przybyli z Owińsk do Poznania, cesarz kazał mnie zawołać i siąść do obiadu obok siebie. — Oprócz mnie był tylko Berthier, szef sztabu całej armii, i zajmował miejsce naprzeciw cesarza. Stolik był tak mały, że tylko jeszcze jedna osoba mogłaby się była naprzeciw mnie zmieścić; jeden tylko służący stawiał na stole potrawy i co potrzeba było.

Obiad nie trwał dłużej, jak mi się wydawało, jak pół godziny. — Przez te pół godziny, cesarz pytał mnie się jednak o bardzo wiele rzeczy. — Szybko mi najprzód zadawał pytania, jak gdybym mu zdawał egzamin. Wiedział już, bo po drodze był mię się pytał, że służyłem w wojsku pruskiem, więc dowiadywał się o nauki, i o profesorów artyleryi, o jej składzie i ogólem o całą armią pruską, nareszcie zapytał się, ile może być Polaków w korpusie, stojącym jeszcze w Prusach Książęcych za Wisłą pod generałem L'Estocq. Na to zapytanie odpowiedzi dać nie mogłem, alem mu wspomniał, że w tym korpusie musi być Litwinów najwięcej, ponieważ się w Litwie pruskiej rekrutował, a do Prus należało wtedy po ostatnim zaborze całe Augustowskie. — Również nadmieniłem, że na Litwie tylko dziedzice Polacy, a lud litewski. O Litwie nic nie wiedział, ani tego nawet, jakim sposobem się z Polską połączyła. Musiałem mu to opowiadać. — W ogóle naszą historyę mało znał, a pruską jak mi się wydawało, tylko od Fryderyka drugiego. — Więc go zdziwiło, kiedy mu powiedziałem, że w korpusie pruskim, stojącym około Królewca, służą nie Polacy lecz Litwini i Żmudzini, ale że ci choć po polsku mało mówią, jednak są, jak i cała moskiewska Litwa, do Polski przywiązani. O stanie chłopów także się pytał. Wiedziałem od ojca mego, że za polskich czasów chłopi nie byli tak obciążeni pańszczyzną. Rólnictwo było prostsze nie tyle, prócz żniw, rąk wymagało. Ale gdy rząd pruski kraj zabrał, rozdał wszystkie dobra duchowne, koronne i starostwa swoim Niemcom. Ci ludzie bardzo zaradni, powiększyli pańszczyznę, więcej dni roboczych i wiele różnych posług nowych żądając. — Nasi obywatele obarczeni długami po ostatnich wojnach, zapatrując się na nowoprzybyłych poczęli ich po części przynajmniej naśladować.

Słuchał cesarz bardzo cierpliwie tych wszystkich szczegółów, nareszcie się o żydów zapytał. — Myślał, że oni z Azyi do nas przybyli. Odrzekłem, że przeciwnie od zachodu, wtedy kiedy ich niemal z całej wypędzono Europy, bo przodkowie nasi zawsze największą mieli dla wszystkich wyznań tolerancyą.

Opowiadać sobie obszernie kazał, jak Prusy królewieckie czyli książęce Elektorom Brandenburskim się dostało złe przyzwyczajenie. — Potem przechadzając się po pokoju, jeszcze raz o organizacyi wojska pruskiego mówił, znał ją dobrze, tylko się jeszcze pytał o szkoły wojskowe, jak daleko w matematyce dochodzą, dziwił się, że na przecięciach krążkowych kończą. — A o geometryi wykreślnej czy wiedzą? Ja sam naówczas nie wiedziałem, dopiero w Paryżu później ją przeszedłem.

Tegoż samego wieczora, w sali obok pokoju gdzie był obiad, zebrało się wiele dam, które ze wsi były poprzyjeżdżały, dla przedstawienia się cesarzowi. — Dziwne im czasem zadawał zapytania i sposób mówienia miał urywkowy, znać, że w tej samej chwili, gdzieśindziej myśli jego wędrowały. — Do mężczyzn, których zastał całą



**Najprzewielebniejszy Ks. Arcybiskup w parku swym w Gnieźnie.**
(Patrz artykuł p. t.: „Śp. Ks. Arcybiskup Dr. Floryan Stablewski").

ły. — Nie znałem jeszcze Francyi, więc nie wiedziałem, jak mało ich interesują rzeczy obce, i dla tego anegdoty dworów francuskich wszystkie na pamięć wiedzą, a z historyi obcych krajów bardzo mało znają.

Także łaskawie się zapytał o rodziców moich, a dowiedziawszy się, że matka moja była z Krakowskiego, pytał się o ten kraj i uniwersytet, o którego stanie ówczesnym mało co wiedziałem, tylko o założeniu, o dawnym wpływie jego i o sporze między Jezuitami a akademią Krakowską opowiedziałem.

Wstał od stołu po kawie, pochwalił mnie, żem nie pił wina, pokazał na butelkę, że on zawsze pół butelki tego samego Chambertin pije, ale dodał, że gromadę, wystrojonych w pończochach i trzewikach, powiedział, że należy im wziąść buty z ostrogami.

Dano dla niego bal w teatrze, cała sala była tak przepełniona aż na galerye, że tylko małe miejsce do tańca pozostało, chodził i rozmawiał z wielu obecnymi, jednak nic nie słyszałem, bom się tam nie cisnął i więcej byłem na ulicy, ażeby nasi gwardziści, nie wszyscy razem na salę wchodzili, a koni swym masztelarzom nie oddawali, aby byli gotowi do eskorty, skoro cesarz bal opuści. — Bawił jednak kilka godzin, aż do północy.

W parę dni przybył adjutant od księcia Murata z wiadomością, że Warszawa zajęta. Cesarz nazajutrz wyjechał; gwardya honorowa eskortowała

go trzy mile. Tam ją pożegnał i kazał generałowi Dąbrowskiemu wydać wszystkim patenta na podporuczników, Umińskiemu na podpułkownika, Suchorzewskiemu na majora, Górzeńskiemu, porucznikowi z pruskich kirasyerów i mnie na poruczników.“

# Napoleon i żydki swarzędzkie.

**Prawdziwe zdarzenie.**

W Swarzędzu, miasteczku o jednę milę od Poznania odległem, większa część mieszkańców talmud wyznaje. Było to w jesieni 1806 roku, kiedy burmistrz tamtejszy widział się zmuszonym zawezwać starszyznę żydowską, celem wyjaśnienia mu, co jest powodem tak nadzwyczajnego pomiędzy nimi ruchu, który od dni kilku uważał; jaką dano odpowiedź, nikt o tem prócz pana burmistrza nie wiedział. Podczas jarmarku dopiero wyjawiła się u chrześcian pogłoska, że żydzi w pobliskich wioskach 120 koni najęli, i że po za kirkutem (cmentarzem) takowe ujeżdżają, że wszystkie konie są w piękne przybrane rzędy. W głowę zachodzili ciekawsi, coby to znaczyło bo i inne jeszcze były poszlaki, że żydzi coś wielkiego knują.

Wiadomość, że Napoleon cesarz Francuzów, w Swarzędzu i w okolicach stojące pułki osobiście w miejscu obejrzy, o tajemnicy żydowskiej zapomnieć kazała. — Kto tylko do użytku miał przydatnych nóg parę, już od rana wybiegł do Zieleńca. — Jest to młyn wodny w stronie ku Poznaniowi, nad brzegiem wielkiego jeziora u spodu piaszczystej góry, miejsce dla Swarzędza czarujące, a istotnie przyjemne pięknym na jezioro i na miasto widokiem. Po za karczemną stajnią zgromadził się niezliczony tłum żydów; ich szwargotanie, wrzask i hałas, byłyby w stanie lichą artyleryą zagłuszyć. Już wtenczas każden się mógł domyślić, że owa żydowska tajemnica była w celu uczynienia miłej niespodzianki dla Napoleona.

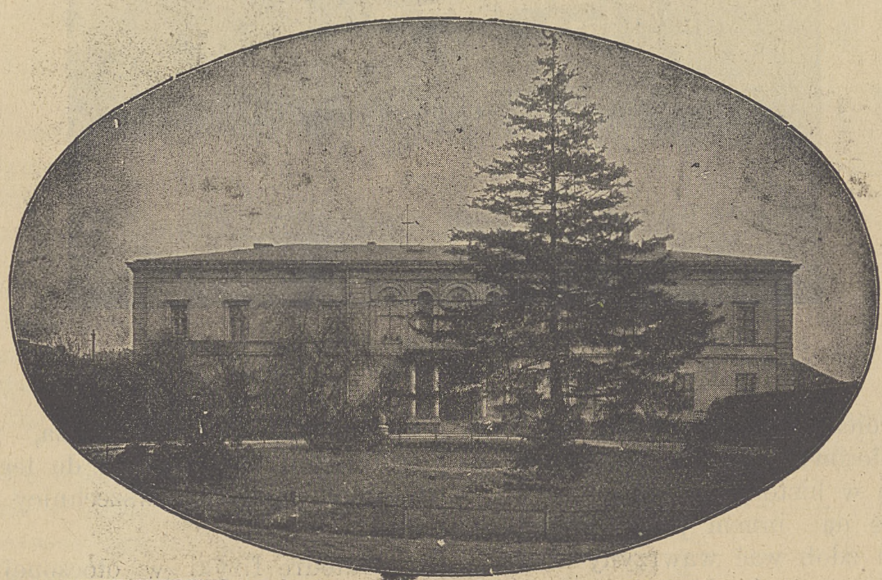
O pierwszej z południa krzyknął na dachu siedzący szajgiec: „Er kymt! er kymt!“ (jedzie! jedzie!) Jakoż za chwil kilka ukazał się na pysznym arabczyku mały kapral Francyi, Napoleon. Wypytywał się właśnie jednego z przybocznych jenerałów o strategiczne położenie Swarzędza. Oko jego oparło się na przeciwległej górze, gdy nagle z po za stajni wybiegł znaczny poczet Turków, drogę cesarzowi zastępując. Wielkie turbany, brody ogromne, czerwone, żółte i zielone kurty, czamary, konie strojne rozmaitej barwy pokryciem; pióra, pałasze, gdzie niegdzie piki i sztandary, nadawały tej jeździe szczególnej wojenny i azyatycki charakter; Napoleon wstrzymał konia i spojrzał się na swoich — nikt tego wypadku objaśnić nie umiał. Wtem wysuwa się naprzód dowódca jazdy tureckiej, a podjechawszy na kilka łokci przed cesarza, zdejmuje z głowy turban mówiąc: *„Fürchten Sie nichts, kaiserliche Majestät, wir sind keine Türken, wir sind Schwersenzer Juden.“* (Nie lękaj się Wasza Cesarska Mość, myśmy nie Turcy, my jesteśmy żydki swarzędzkie).

Śmiech Napoleona granic prawie nie miał — odważne Turki krzyknęły:

*„Wiwajt!“* „Wielki Cesarz Napoleon niech żyje! jeszcze raz niech żyje!“ i powtórzywszy trzykrotnie „Wiwajt!“ usunęli się na stronę.

Marszałkowie francuscy zapewniali, iż nigdy się Napoleon tak serdecznie nie uśmiał.

*A. Wilkoński.*



**Pałac Arcybiskupi w Poznaniu.**
(Patrz artykuł p. t.: „Sp. Ks. Arcybiskup Dr. Floryan Stablewski“).

# Ave Maria!

*Zadźwięczał dzwon, zadźwięczał dzwon*
*I echo płynie przez ścierniska*
*Na kępy traw, gdzie srebrny szron*
*rozsypał perły lśniące,*
*Na tonie wód, gdzie białe mgły kołyszą się marzące.*

*Zadźwięczał dzwon i echo las pochwycił niezgłębiony*
*I niesie w dal, i niesie w dal*
*Na wichru lotnej fali,*
*A szepce świerk i trzciny kiść i nitka drży pajęcza,*
*Na miękkim mchu dygoce liść*
*I cicho pieśń oddźwięcza.*

*Zadźwięczał dzwon i echo mrok nad wioskę niesie blady*
*I rzuca pieśń nad stawu pleśń*
*Ponad bezlistne sady.*
*Nad szara błoń, topielisk toń.*
*I ognie błędne drzemią,*
*A dźwięczy dzwon i płynie pieśń*
*Nad rozmodloną ziemią.*

*Gertruda Tomicka.*

# Obrona Częstochowy.

Dnia 18 listopada 1655 r. podsunęli się Szwedzi pod dowództwem Müllera pod klasztor Jasnogórski, aby skarby jego złupić i załogę szwedzką w nim osadzić.

Nie będziemy opisywać tu przebiegu oblężenia Częstochowy, bo wie o niem każdy Polak, co choć trochę czytać umie, z książek lub z opowiadań. W rocznicę tej wielkiej dla Polaków chwili, przypomnimy tylko dzieje tej wojny ze Szwedami, w której oblężenie słabej twierdzy częstochowskiej jest najważniejszem zdarzeniem.

W chwili, kiedy podstąpili Szwedzi pod Jasną Górę, cała Polska była w ręku nieprzyjaciół. Gospodarzyli tu Szwedzi, których wpuścili do kraju zdrajcy magnaci, Moskale, Kozacy i Tatarzy. Nie było dla króla ani miejsca, gdzieby się schronili i musiał uchodzić na Śląsk. W tak rozpaczliwej chwili, kiedy już wszyscy myśleli, że nadszedł koniec Polski, rozeszła się po całej Polsce wiadomość, że wojskom

szwedzkim obroniła się mała twierdza Częstochowa, broniona przez przeora Paulinów, ks. Kordeckiego. Ta cudowna obrona wlała otuchę w serca wszystkich; zawiązuje się konfederacya tyszowiecka, na której czele staje Stefan Czarniecki. Dwa lata jeszcze trwały walki z najeźdzcami, wiele polało się krwi polskiej, a w końcu najeźdźcy z Polski ustąpili. Z tego potopu, w którym — zdawało się utonie Polska, uratowała nasz naród cudowna obrona Częstochowy: opieka królowej Korony polskiej.

Dla nas boje te mają z tego powodu wielkie znaczenie, bo w nich poraz pierwszy od dawnych czasów, poszedł oddać swe życie za Polskę lud polski. Dziś chłop i mieszczanin sięgają swą historyą do walk szwedzkich. Wroga do kraju wprowadzili magnaci dumni, ale pierwsi przeciw nim chwycili za broń ubodzy mieszczanie i chłopi niewolni. Powstała przeciw Szwedom drobna szlachta, mieszczaństwo nowosądeckie, chłopi nawojowscy, górale tatrzańscy. Cała rzesza włościańska, która powstała przeciw Szwedom lutrom w obronie ziemi i wiary katolickiej, dała jawny dowód, że tę drogą ziemię niezgorzej od szlachty miłuje i za nią krew w ofierze przelać jest zdolna.

Zrozumiał te zasługi, położone dla sprawy polskiej przez lud wiejski, król Jan Kazimierz, kiedy dnia 1 kwietnia 1656 r. w katedrze lwowskiej złożył uroczyste śluby, oddając siebie i Polskę w opiekę Najświętszej Pannie i przyrzekając „lud królestwa swego uwolnić od niesprawiedliwych ciężarów i ucisków“.

I oto w każdej ciężkiej chwili dla narodu polskiego wracamy myślą do tej twierdzy jasnogórskiej, którą za przyczyną Najświętszej Panny obronił przed nawałą szwedzką mieszczański syn, Kordecki. A potem do tej drugiej chwili, do ślubów Jana Kazimierza w katedrze lwowskiej.

Dla nas to nauka, którą już wtedy Bóg dał narodowi polskiemu: choćby największe na nas przyszły chwile, nie zginiemy, jeśli pozostanie w naszych sercach wiara św., a lud w swe krzepkie ręce weźmie obronę ziemi naszej.

## Polka profesorem Sorbony paryskiej.

Że kobiety zdolne są spełniać najbardziej trudne i mozolne obowiązki, że szerokie zataczają kręgi i pracami swemi pożytek ogółowi przynoszą, a nieraz nawet przysparzają sławy ojczyźnie — mamy na to w historyi dziejów dowodów nie mało.

Polki nie dały się pod tym względem wyprzedzić innym siostrzycom swoim na globie ziemskim. Złożyły na ołtarzu miłości ojczyzny wiele dowodów energii, obywatelskiego ducha, a nawet waleczności.

I w chmurnych czasach burz dziejowych ubiegłego stulecia jaśnieje postać niejednej Polki.

Heroiczne wysiłki takich, jak Emilia Platerówna postaci, niezapomniane zostaną w historyi.

Dziś na innem polu przychodzi Polkom zdobywać wawrzyny sławy.

W czasach, kiedy wszyscy ludzie dobrej woli dążą do zaszczepienia w sercach ludzi pierwiastków etycznych, do zaprzestania waśni klasowych czy plemiennych, do kulturalnego odrodzenia społeczeństw — przychodzi rodaczkom naszym współdziałać w tym kierunku rychlejszego osiągnięcia tego odrodzenia na różnych polach.

I oto dziś, gdy wielkie ogniska wiedzy ślą na cały świat zbawcze ogniki, rodaczka nasza stoi u tego ogniska.

Imię p. Curie-Skłodowskiej, Polki, obok Sienkiewicza zaszczyconej nagrodą Nobla za prace z dziedziny fizyki — nowym opromieniło się blaskiem.



**Letnia siedziba Arcybiskupia i kaplica w Krobi.**
(Patrz artykuł p. t.: „Śp. ks. Arcybiskup Dr. Floryan Stablewski“).




**Jenerał Dezydery Chłapowski.**
(Patrz artykuł p. t.: „Z dziejów upadku Prus“).

Kobieta, rodaczka nasza, zostaje profesorem wszechnicy i do tego profesorem prastarej wszechnicy paryskiej.

Katedrę fizyki w otoczonej nimbem sławy wszechnicy paryskiej — Sorbonie powierzono rodaczce naszej p. Curie-Skłodowskiej.

Dotychczas wykładała fizykę w liceum kobiecem w Wersalu; obecnie audytorym jej będą składały zastępy słuchaczów z całego świata.

Dla ogółu Polek fakt zaszczytnego odznaczenia naszej uczonej nie może pozostać obojętnym. Dumą i zadowoleniem napełniać musi serce Polek, a zarazem otuchą, świadczy bowiem do jakich wyników, nawet na wielkiej arenie wszechświatowej, kobieta dojść może pracą swoją, o ile istotne zdolności posiada. Świadczy, że na każdem polu, o ile jest ono umiłowanem i o ile do pracy na niem przystąpiono z należytem przygotowaniem, odpowiednio do uzdolnienia, kobieta poważne osiągnąć może wyniki.

Szczęście rodzinne znakomitej rodaczki zostało złamane przez niedawny tragiczny zgon jej męża i współtowarzysza pracy, prof. Curie, z którym

razem lata całe pracowała nad odkryciem polonium i radium i razem otrzymała nagrodę Nobla.

Pochłonięta działalnością naukową Curie-Skłodowska dzisiaj na szerszej arenie działalności w dalszym ciągu przysparzać będzie laurów nauce polskiej. X.

## Adamowi Mickiewiczowi.

*Już zasnął zamek, na senne kwiaty*
*Noc tajemnicze blaski pokładła;*
*Już zasnął zamek, a przez komnaty*
*Jakieś się senne snują widziadła,*
*I jakieś tajne czynią objaty.*

*Przez okna księżyc srebrne promienie*
*Kładzie na białe smukłe kolumny,*
*W galeryach snują się jakieś cienie*
*I jakieś duchy i jakieś trumny*
*I jakieś ciche słychać westchnienie.*

*W srebrnych się szybach księżyc kryształi,*
*I po kolumnach białych przesuwa,*
*Tam jedno okno blaskiem się pali,*
*Znać nie śpi zamek, ktoś jeszcze czuwa*
*I słychać szmery w książęcej sali.*

*Cicho zamkowe skrzypły podwoje,*
*Cicho z marmurów jęknęły ściany,*
*Przez mgieł wilgotnych leciuchne zwoje*
*Pan zamku biały idzie na łany,*
*Schyliły liście brzozy dziewoje.*

*Przez polne miedze, przez ciche błonie,*
*Idzie gdzie w mroku skryte pastwiska,*
*Kędy pastusze ognisko płonie,*
*A kiedy siędzie w noc u ogniska*
*Chłopskie mu dzieci całują dłonie.*

*Idzie wśród mgławic, przez senne wrzosy,*
*Chylą się k'niemu łany radośnie;*
*On w drżące dłonie ujmuje kłosy,*
*I długo, długo pieści miłośnie,*
*Wsłuchany w dębów młodziutkich głosy.*

*Czasem coś cicho gwarzą mu kwiaty,*
*O swojej doli, o troskach ziemi,*
*Brzozy jak ojcu całują szaty*
*I długo chylą prątki wiotkiemi*
*Gdy cicho idzie gdzie wiejskie chaty.*

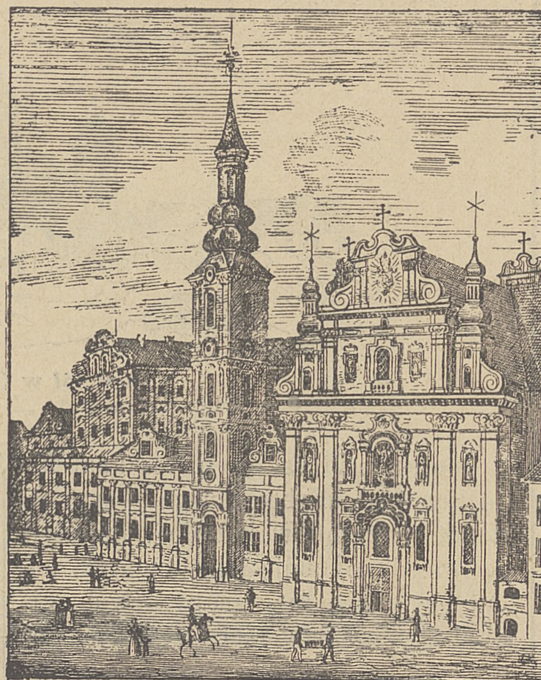
*A gdy od borów przez krzewów zwoje*
*Ranny wiatr niesie zapach żywicy,*
*Biały pan wraca w zamku podwoje*
*I czyta mądre książki w książnicy*
*I znowu senne milczą pokoje.*

*Miłosław*, 26. XI. 1906 r.

*Roman Wilhanowicz.*

## Z walki o naukę religii.

W Zabrzu na Górnym Śląsku sąd okręgowy powziął uchwałę, mocą której dwom ojcom odbiera się prawo opieki nad dziećmi za to, że dzieci posłuszne woli rodziców nie chciały się w szkole uczyć religii po niemiecku.



**Gmach pojezuicki i kościół Farny w Poznaniu.**
(Patrz artykuł p. t. „Z dziejów upadku Prus").

Ojcami tymi są: inwalida p. *Józef Zych* i kolporter p. *Piecha*, obaj z Zabrza, gdzie się rozpoczął górnośląski strejk szkolny.

Panu Zychowi uchwalono odebrać 12 letnią córeczkę, Martę, panu Piesze



**Kościół w Stęszewie.**
(Patrz artykuł p. t. „Z dziejów upadku Prus").

zaś dwoje dzieci: 12 letnią Maryę i 11 letniego Franciszka. (Patrz rycinę.)

Obrońca pp. Piechy i Zycha, p. dr. Z. Seyda z Katowic stawił wniosek o wstrzymanie wykonania uchwały sądu opiekuńczego w Zabrzu.

Tymczasem o zniesieniu uchwały mowy niema. Przeciwnie, sąd odrzucił wniosek obrońcy, „ponieważ twierdzenie, że w razie bezzwłocznego umieszczenia dzieci w zakładzie wychowawczym powstałaby dla rodziców i dzieci niepowetowana szkoda, okazało się niczem nieuzasadnione".

Obrońca ponowił wniosek o wstrzymanie wykonania uchwały przy sądzie ziemiańskim.

„Schles. Ztg." donosi, że opiekun został zaprzysiężony.

W najbliższym czasie będą na porządku dziennym w parlamencie niemieckim w powyższej sprawie dwie interpelacye i to *Koła polskiego* oraz *stronnictwa Centrum.*

W tej sprawie pisze *„Polak"*, organ posła Korfantego, co następuje:

„Strejk szkolny na Górnym Śląsku według ostatnich wieści upadł. W Zabrzu odpowiadają znowu dzieci pp. Piechy i Zycha po niemiecku, to samo czynią dzieci p. Gnota w Porębie, również dzieci p. Sitka z Brzezinki.

„Strejk szkolny już upadł przed wydaniem uchwały sądu w Zabrzu. Nieprawdziwem byłoby twierdzenie, że owa uchwała (którą nawet prawomocną dotychczas się nie stała) dobiła strejk szkolny. Niech się gazety niemieckie nie cieszą z owej uchwały. Przyczyny upadku strejku są następujące:

„Po domach na Górnym Śląsku rej wodzą kobiety, stojące pod wpływem nauk duchownych. Mąż jest maszyną roboczą a jego prawa w rodzinie są na ogół (z wyjątkami oczywiście) małe. Że kobiety zaś nie popierały strejku szkolnego, tak samo jak są zawołanemi przeciwniczkami strejków ekonomicznych, o tem wie u nas każdy i łudzić się nie ma po co i na co."

* * *

Na rodziców dzieci strejkujących sypią się kary pieniężne a na dzieci plagi i areszty. Na zamieszczonej rycinie p. t. „Na areszt szkolny" widzimy gromadkę chłopców różnego wieku w pewnej wsi W. Ks. Poznańskiego, dążących na areszt szkolny.

## Bomba w bazylice św. Piotra.

Ze względu na miejsce wypadku, wybuch bomby w bazylice św. Piotra odezwał się nieledwie fizycznie głośnem echem po całym świecie. Owa bazylika z grobem apostoła św. Piotra, pełna wspaniałych wspomnień histo-

rycznych, cywilizacyjnych i artystycznych, jest jakby ogniskiem świata katolickiego, a jako potężny zabytek przeszłości obudza cześć we wszystkich inteligentnych ludziach, bez względu na ich wiarę i przekonania. Przybytki podobne są poprostu nietykalną świętością, na którą podnieść rękę może tylko zupełny barbarzyńca. — Bomba która wybuchła w owej świątyni rzymskiej, nie zrządziła na szczęście żadnej szkody, ale już sama możliwość podobnego zamachu zbrodniczego musi przejąć troską świat cywilizowany.

Wybuch bomby w kościele św. Piotra nastąpił w niedzielę, dnia 18 z. m. o godzinie 11 min 10 przed południem, po uroczystem nabożeństwie, w którem brał udział były sekretarz stanu, kardynał Rampolla, jako arcykapłan bazyliki. Bomba umieszczona była pod rusztowaniem na walcach (castelli), służącem do robót restauracyjnych około kościoła. Wybuch był wcale silny, skoro odgłos jego słyszano w całej dzielnicy Borgo, mimo to jednakże — jak zaznaczyliśmy na wstępie — nie zrządził żadnej szkody, opaliwszy tylko lekko deski rusztowania i dwie belki, oparte o nie. Tę pomyślną okoliczność przypisać należy tylko wadliwemu napełnieniu bomby, w której gwoździe znajdowały się na dnie puszki, proch zaś na wierzchu. Otóż proch, wybuchający zresztą tylko w górę i na bok, spłonął z hukiem, zaś gwoździe nie zostały rozrzucone, ale pozostały w puszce.

Po zbadaniu puszki i pozostałych w niej resztek, doszła komisya śledcza do przekonania, że bomba, która wybuchła w bazylice, pochodzi z tego samego warsztatu, co bomba, która niedawno wybuchła w kawiarni rzymskiej Aragno. I puszki i gwoździe, tak co do kształtu, jak i długości, w obu wypadkach były jednakowe. Wiadomo, gdzie materyały te były kupione, ale kupującego policya dotąd nie wyśledziła. Policya przypuszcza, że nie był to mieszkaniec Rzymu, ale przybysz z prowincyi, a mianowicie wedle dotychczasowych poszlak, wieśniak z gór albańskich. Na przypuszczenie to naprowadziła policyę okoliczność, że kupujący miał wielki pugilares czerwony, obwiązany wełnianą opaską, a podobne pugilaresy mają parobcy, rozwożący wino z Marino, Frascati, tudzież z Albano. Dalej gwoździe, znalezione, w puszce, są takie same, jakich używają chłopi w Kampanii do zbijania płotów i żerdzi, a które wyrabiają w San Marino.

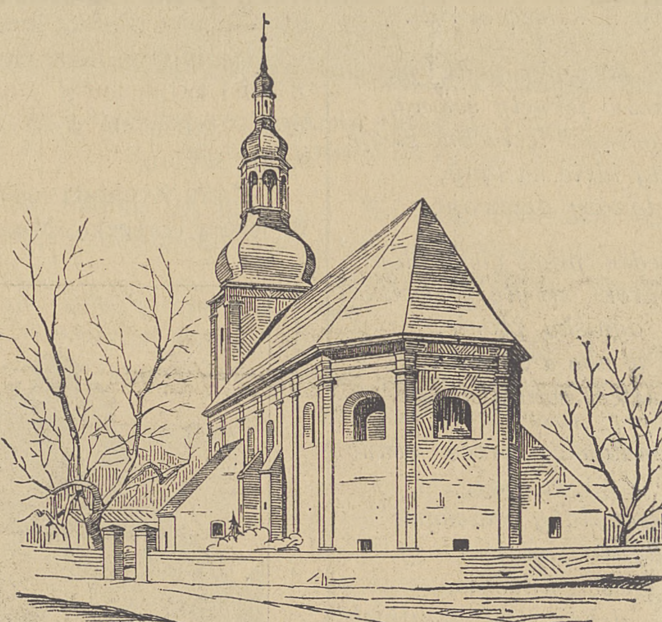
Opinia publiczna i część prasy przypisuje zamach anarchistom, którzy w ten sposób chcieli się zemścić z powodu, że policya nie pozwoliła im urządzić uroczystości na pamiątkę stracenia przed kilku laty skazanych anarchistów. — W związku z wybuchem bomb w kawiarni Aragno, a potem w bazylice, wskazują niektóre dzienniki na zamordowanie w Neapolu profesora Rossi'ego przez anarchistę Laganę. Wobec innego przypuszczenia, zamachu w bazylice dopuścił się prawdopodobnie jakiś fanatyk, nie należący do żadnej grupy rewolucyjnej. Uwięzieni w pierwszej chwili anarchiści udowodnili swoją niewinność, zaś imieniem grupy anarchistów podnieśli przeciwko tym podejrzeniom protest Tancredi i Consalvi.

Papież, zawiadomiony o zamachu przez ks. Misciatelli'ego, powiedział, że podobnego czynu mógł się dopuścić tylko obłąkany. Jeden z kościelnych opowiada, że w chwili wybuchu znajdował się w zakrystyi, gdzie obsługiwał kardynała Rampollę. Na odgłos wybuchu wbiegł do kościoła i pospieszył ku rusztowaniu, koło którego wznosił się słup czarnego dymu. Tam znalazł puszkę z gwoździami i tlejącym jeszcze papierem.

Miejsce wybuchu znajduje się w prawej nawie bocznej pomiędzy ołtarzem Navicella (ołtarz „łodzi") a grobowcem Klemensa XIII. Ołtarz ów ma nazwę od obrazu Lafranca, przedstawiającego Chrystusa i św. Piotra w łodzi na falach jeziora. Grobowiec papieża Klemensa jest przepysznem dziełem rzeźbiarza Canovy.



**Kościół w Owińskach.**
(Patrz artykuł p. t.: „Z dziejów upadku Prus").



**Kościół w Konarzewie.**
(Patrz artykuł p. t.: „Z dziejów upadku Prus").

# Swiatło to zdrowie.

Stare przysłowie mówi słusznie, że gdzie nie dochodzi światło słoneczne, tam dochodzi lekarz. Spostrzeżenia przysłowie to stwierdzają w zupełności.

Każdy wie, że ludzie mieszkający w ciemnych mieszkaniach, jako też pracujący w podziemiach, bywają bladzi, bezkrwiści i łatwo podlegają chorobom.

Z drugiej strony widzimy, że chorzy i słabi wyjeżdżają na południe, szukają tam nie czego innego, tylko światła słonecznego, które przywraca zdrowie, siły i energię życiową.

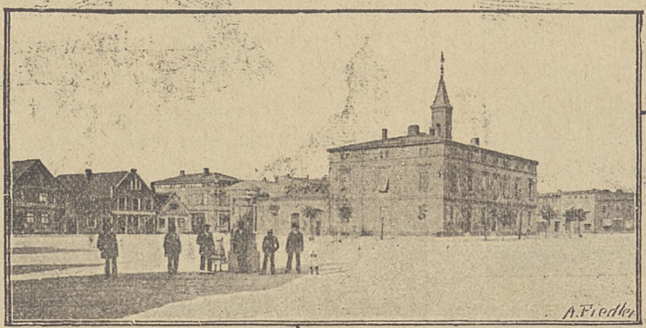
To działanie słońca rozciąga się na wszystko, co żyje. Widzimy przecież jak rośliny zwracają się ku słońcu, a bez niego obumierają. Owoce bez słońca nie dojrzewają; gdy dla doświadczenia okryto krzew winogrona

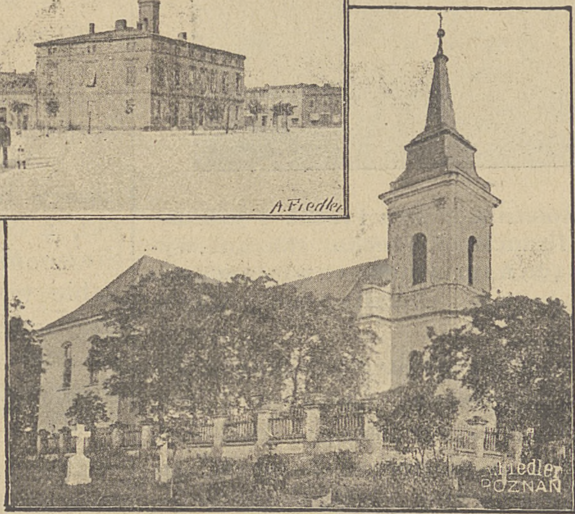
czarną materyą, winogrona nie dojrzały jedynie dla tego, że się nie kąpały w słońcu.

Jest to wskazówka, że działanie słońca na organizmy żyjące nie ogranicza się tylko na wydzielaniu ciepła; poza tem niezawodnie ważną rolę gra działanie chemiczne promieni słonecznych.

wstążki, ubrania i t. p. [płowieją] pod wpływem słońca; [zmie]niają więc barwę tak samo, jak gdybyśmy je włożyli w roztwór chloru, który jest ciałem gryzącem.

Na tem chemicznem działaniu słońca opiera się także sztuka fotograficzna, która polega na tem, że światło rozkłada chlorek lub bromek srebra.





**Ratusz i kościół katolicki w Swarzędzu.**
(Patrz artykuł p. t.: „Z dziejów upadku Prus").

Wiemy o tem, że światło słoneczne, jakkolwiek wydaje nam się białem, składa się z różnobarwnych promieni, które łatwo odróżnić w tęczy.

Barwy te otrzymać możemy i sztucznie: dość przeprowadzić światło tak, aby ono się załamało, n. p. przez wodę, lub kryształ ukażą nam się kolory tęczy.

**Sposób, w jaki światło działa na mikroby** (bakcyle) jest także dowodem działania chemicznego.

Kiedy hodowlę mikrobów wystawiono w rurce szklanej na działanie słońca, ginęła w przeciągu 20 do 30 minut. Promienie chemiczne dokonały tego, i to jak badania dowiodły, promienie fioletowe, które posiadają 360 razy większą siłę zabijania mikrobów, niż promienie czerwone.



**Na areszt szkolny.**
(Patrz artykuł p. t. „Z walki o naukę religii").

Otóż nauka wykazała, że nie wszystkie promienie działają jednakowo.

Promienie n. p. czerwone i zielone dają ciepło, natomiast niebieskie i fioletowe działają chemicznie, i one to tak ważny wpływ wywierają na rozwój istot żyjących.

Że promienie słońca działają chemicznie, na to codziennie mamy dowody. Widzimy przecież, jak tkaniny,

Siłę tę chemiczną światła słonecznego, siłę że tak powiemy, rozkładającą, wyzyskała nauka dla leczenia różnych chorób, zwłaszcza takich, których przyczyną jest działanie mikrobów, czyli bakcyli. We wszystkich krajach są zakłady leczenia, gdzie chorzy używają kąpieli słonecznych, lub też poddawani są działaniu różnego koloru światła, stosownie do choroby.

O tych zakładach, albo i sposobach leczenia mówić tu jednak nie mamy zamiaru.

Przeciwnie, chodzi o to, aby wszyscy byli tak zdrowi, iżby nie potrzebowali szukać zdrowia po zakładach leczniczych.

Życiodajne słońce jest niezrównanym pomnikiem w staraniach o utrzymanie zdrowia.

Światło słoneczne pomaga organizmowi naszemu w walce, jaką tenże prowadzić musi przeciwko mikrobom i ich jadowi, zabija mikroby i zarazem działa odkażająco.

Światło słoneczne przenikając przez skórę, pobudza do czynności organa naszego ciała. Ilość czerwonych kulek w krwi zwiększa się. Dlatego chorzy pod wpływem światła tracą cerę bladą, anemiczną.

Niema życia bez powietrza, niema zdrowia bez światła słonecznego.

Przypominamy to w porze zimowej. Trzeba nam tem więcej wyzyskać każdy promyk życiodajnego słońca. Niech pamiętają o tem zawczasu matki i niech nie bronią dzieciom przebywania na dworze, na słońcu, chociażby na mrozie. Nie zasłaniajcie także okien w mieszkaniu pod pozorem, aby niemi mróz nie wciskał się do mieszkań.

Światło, to zdrowie. Światła, zatem, więcej światła!



# Bóg twoim celem.

Gdy z łona ziemi wystrzeli kwiat
Tchnieniem wiosennem obficie zlan...,
Pyszni się krasą, że stroi świat!
Lecz, ach! jak krótko trwa glorii stan,
Maleńką chwilę roztacza wdzięk, —
I już go strawił słoneczny żar!
A ciebie, bracie, zdejmuje lęk
I widmo końca, — śmiertelnych mar...

Gdy porą letnią wyjdziesz na łan, —
Przed tobą motyl uleci tuż
W barwnej swej szacie, ot wielki pan!
Co pije nektar...., kochanek róż...
Jakiż on wesół, tak życiu rad,
Jak lekko fruwa, pieści twój wzrok!
W tem wzbił się w górę... i — nagle padł, —
A w oczach jego śmiertelny mrok!...

Widziałeś może raz cudną tęcz
Uwitą z siedmiu świetlanych barw?
Nią zachwycony powiesz mi wręcz:

To najpiękniejsza ze wszystkich szarf!
Bóg ją i Stwórca zawiesił sam, —
Jako przymierza litosny znak...
Patrz! słońce weszło do niebios bram
I zginął nawet zjawiska szlak!

Niechaj przeminie i barwa róż —
Niech padnie śmiercią motylek twój!
Kwiat przeznaczenia dopełnił już,
A motyl przeżył krótki wiek swój.
Wszystko na świecie ma jakiś cel!
*Bóg twoim celem, ty w niego wierz....*
*Grzechowe chwasty z duszy swej piel*
*Z rzeczy znikomych naukę bierz!...*

*K. Paszliński.*

# Gwary i prowincyonalizmy.

Dr. Roman Zawiliński pisze w „Poradniku Językowym:“

Do dziś dnia wierzy inteligencya nasza w wyszarzałą bajkę, że język ludowy jest zepsutym językiem literackim, że ta gwara jest najpiękniejsza, która się brzmieniem najwięcej zbliża do języka literackiego (rzekomo pas graniczny polsko-ruski) a że wszelkie odstępstwa od języka literackiego są błędami, które „tępić“ należy. Moglibyśmy ze zdań, w tym względzie wypowiedzianych w korespondencyi z „Poradnikiem,“ ułożyć barwną rówiankę i bardzo zajmującą; jasno z niej przekwita niezbity pewnik, że nasza inteligentna i bardzo inteligentna publiczność ma mało kultury — językoznawczej i nie może się nawet w sprawach naukowych pozbyć poglądu społecznego z przed wieku przynajmniej.

A przecież pozbyć się go trzeba i to rychło; wszak żaden fałsz prawdą się nie stanie, choćby przetrwał szereg wieków...

Jeden z niemieckich uczonych, porównywując język ludowy a literacki do dwu strumieni, wyraził się trafnie, że strumień ludowy płynie w korycie starem i naturalnem, a literacki w wodociągu sztucznym, zaopatrzonym w różne śluzy i filtry; prawdziwy, naturalny rozwój języka jest w strumieniu ludowym, bo wodociąg sztuczny daje preparat, jakiego niema w naturze, tak jak w naszych potokach nie płynie woda destylowana.

Mniejsza z tem, do czego porównamy język ludu, czy do strumyka polnego, czy do krzewu leśnego, czy nakoniec do wieśniaka prostego, którego brat poszedł do miasta i został — panem; faktem jest, że język ludu reprezentowany przez narzecza czy gwary stanowi rdzeń, istotę mowy naszej, a język literacki jest tylko jej odmianą sztuczną. Różnica gwary a języka literackiego spoczywa przedewszystkiem w głosowni i akcencie, uderzających ucho natychmiast; mniejszą znajdziemy w zasobie wyrazów, i dość nieznaczną w składni; stąd pochodzi, że różnice gwarowe, grupując się terytoryalnie, łatwe są do rozpoznania. Po akcencie odróżnia Lwowiak t. zw. „Mazura“ z Krakowskiego lub Tarnowskiego, po akcencie i głosowni odróżnia Warszawiak górala podhalskiego od Ślązaka lub Wielkopolanina.



**Dwunastoletnia Marya Piecha i jedenastoletni Franciszek Piecha, skazani wyrokiem sądu na przymusowe wychowanie.**
(Patrz artykuł p. t.; „Z walki o naukę religii“).

Pomimo wielkiego zastępu językoznawstwa u narodów cywilizowanych i uznania wartości języka ludowego, nie mamy dotąd jasnego obrazu, jakie gwary polskie są na naszym obszarze etnograficznym. Oprócz ogólnego podziału na gwary mazurskie, góralskie, śląskie i wielkopolskie, nie potrafimy w szczegółach ani ich dostatecznie wyróżnić, ani ich w pewne gromady ułożyć, nie wiemy, które ogniwa są pokrewne, które dalsze, nie zdajemy sobie sprawy z wpływów sąsiedzkich. Są tacy, którzy poważnie sądzą, że język Ślązaków to zepsuta niemczyzna — wasserpolakisch — i całkiem seryo cytują parę słów komicznych przez jakichś polakożerców wymyślonych. A tymczasem pomijając wartość naukową każdej gwary tak co do poznania własności języka wogóle, jak i co do badania naszej mowy ojczystej, trudno nie uznać, że cała świeżość stylu poetyckiego nowszych czasów płynie ze źródła języka ludowego, który nasi „młodzi“ albo znają dobrze, albo sami nim w dzieciństwie mówili. Z niw wielkopolskich pochodzi w stylu Kasprowicza ta jędrność i obrazowość swojska, z turni tatrzańskich i dolin podhalskich wieje urok prozy Tetmajera, a nie potrzeba wykazywać szczegółowo, ile wziął z gwary ludu krakowskiego Wyspiański, z gwary ludu sandomierskiego Żeromski, a co potrafił uczynić z językiem Reymont w „Chłopach.“ Czy można sobie wyobrazić inaczej rozwój nowszej naszej literatury, jak i ie w postaci starożytnego Anteusza, dotykającego ziemi, i nabierającego z niej życia i siły?

Co jest w gwarach często niemiłe, to naleciałości obce, przyniesione z wojska lub fabryk. Ale wolnyż jest od nich język nasz salonowy? czyż owszem nie gorzej się w nim dzieje, skoro świadomie pstrzymy go obczyzną, i nie chcemy się jej wyprzeć? Równie szybko, jak przyszły, odpływają z języka ludu zwroty i wyrażenia obce, natomiast trwają wiekami słowa i formy stare, które zadziwiają starożytnością swoją.



**Bazylika św. Piotra i Watykan w Rzymie.**
(Patrz artykuł p. t.: „Bomba w Bazylice św. Piotra“).

A cóż myśleć o prowincyonalizmach?

Prowincyonalizmami nie nazywamy właściwości języka ludowego, ale właściwości języka ludzi wykształconych, wspólne im na pewnym obszarze kraju lub kilku powiatów (dlatego tak-

że zwane: powiatowszczyzny). Są liczne prowincyonalizmy litewskie, wołyńskie, galicyjskie, wielkopolskie i warszawskie (tak nazywają w ogólności właściwości z Kongresówki). Z natury rzeczy są szkodliwe o tyle, o ile przez osobne wyrażenia i zwroty nie



**Ś. p. Karol książę Radziwiłł,**
syn Ferdynanda ks. Radziwiłła, ordynata na Ołyce i Przygodzicach, dziedzicznego członka pruskiej Izby panów, ur. w 1874 roku, zmarł w dniu 26-go zi m. w Berlinie.

zrozumiałe są dla Polaka z innych stron Polski, o ile na miejsce wyrazów ogólnych wnoszą szczegółowe i to często brane z języka obcego. Pewnego zbogacenia ogólnego skarbu językowego nie można im tylko wtedy odmówić, jeżeli przesuwają i zmieniają znaczenie wyrazu powszechnie znanego, lub na wzór istniejących tworzą nowe, by wyrazić pojęcie nowe, może lokalne. Ale że takich utworów jest mniej nie-



**Baron Bethmann-Hollweg,**
pruski minister spraw wewnętrznych, przeciwnik polityki dymisyowanego Podbielskiego i tegoż intermistyczny zastępca.

zawodnie, stąd nie dziw, że prowincyonalizmy uchodzą za błędy, a gramatycy przeciw nim występują.

Nie należy mieszać prowincyonalizmów z właściwościami mowy ludu, jak to czyni W. Korotyński, a nawet Chmielowski. Jest znaczna między nimi różnica, a stąd inny do języka ogólnego stosunek. Właściwościami mowy ludu w pewnej okolicy można styl swój ustroić, ozdobić i uczynić go więcej charakterystycznym, prowincyonalizmy mogą to uczynić chyba w komedyi lub piśmie humorystycznem.

# Humor i satyra.

## Moje zaręczyny.

(Humoreska z bruku warszawskiego).

Błogosławione czasy! Już mi się zdawało, że na zawsze pozostanę w celibacie, który, mówiąc prawdę, dokuczył mi okropnie, osobliwie w czasie, kiedy zastrajkowali rzeźnicy, piekarze i t. p. majstrowie od ładunków żołądkowych, i nie jeden obiadek trzeba było przegwizdać. Do żeniaczki zdradzałem chęci od lat — żebym nie zełgał 15, za co nieraz dostałem od ojca taką wcirę, że no! Kiedy jednak doszedłem wieku, w którym już naprawdę mogłem się żenić, to.... nie miałem pieniędzy, no i szczęścia do dziewuch takich, któreby miały coś niecoś więcej odemnie; bogate i ładne wprost gardziły mną, pomimo mej urody.

Zgroza!

Aż nadeszły wreszcie czasy, w których zabrzmiało hasło: „proś, a jeśli ci nie dadzą, to bierz.“ — Pomyślałem tedy: trzeba korzystać....

Upatrzyłem sobie dziewczynę piękną i zgrabną na wszystkie boki i boczki, córkę burżuja, posiadającego, prócz trzypiętrowej kamienicy w śródmieściu, znaczny majątek ziemski, w którym jeszcze noga komornika nie postała. Zaopatrzywszy się w spluwaka, któremu na imię Brauning, tego nieodzownego stempla na wszelkie teraźniejsze prośby, hajda do onej pięknej i bogatej dziewoi!

Utorowawszy sobie drogę resztkami dysek, wchodzę do salonu. Na twarzach wszystkich wielkie zdziwienie. Nie tracę jednak na minie i nie zwlekając przystępuję do sprawy: proszę o rękę nadobnej córy.

Spojrzeli na mnie, jak gdybym obrabował ze trzy towarzystwa kredytowe i zdemolował z pięć monopoli. Rodzice nie znajdowali słów oburzenia, a córka! — patrzyła na mnie, jak gdybym jej wręczał bukiet w stylu madryckim. Wreszcie zagrzmiały dzwonki elektryczne, na odgłos których przydrałował Walenty w towarzystwie garsona i kucharza i poczęli mnie delikatnie brać za bary. Dopiero kiedy zaimprowizowałem:

„Bez grymasów, dziewczę bez,
Bom ja ci jest pepees...“ i kiedy na potwierdzenie swych gorących pragnień wyciągnąłem z kieszeni spluwaka — rzeczy wzięły inny obrót: córka rzuciła mi się na szyję,rodzice ze łzami rozczulenia pobłogosławili nas, a rodzeństwo winszowało nam takiego szczęścia, o jakiem tylko śnić można...

Naturalnie, obcałowawszy po rękach, kogo należało, włożyłem na paluszek mojej wybranej pierścień ze lśniącym jak meteor brylantem wartości rubli — kop. 10, który kupiłem za gotówkę na Warszawskiej i — po krzyku!...

I mam narzeczoną.

Złote czasy — powiadam.

*Oj, oj!*

* * *

## Z pamiętnika starej panny.

Gdyby mężczyźni byli różami, to prosiłabym Boga, żeby zamiast kwiatów, mieli tylko same kolce, wtedy bowiem młode dziewczątka pewnieby na nich nie zwracały uwagi i nie dałyby im sobie głowy zawracać.

Gdyby mężczyzni byli gwiazdkami — prosiłabym Boga, aby na niebie były zawsze chmury, ażeby młode panny nie wpatrywały się w ich złudne blaski.

Wczoraj Andzia przyznała się przedemną, że jej Czesio powiedział, iż ją szalenie kocha.

Ja jej na to odpowiedziałam: jeżeli nie chcesz się zawieść na jego miłości, to go złóż we dwoje i nawiń na niego kłębek bawełny, taki duży jak ziemia, a wtedy weź druty i zacznij z tej bawełny robić pończochy. Kiedy już wyrobisz ostatnią parę, a on jeszcze ci to samo powie, to możesz mu wtedy dopiero uwierzyć.

Biedna Andzia rozpłakała się i myślała, że ja z niej żartuję.

Miłość mężczyzn podobną jest do pokrzywy. Trudno uwierzyć jak ją chętnie i chciwie połykają młode indyczki.

Dajcie mi wszystkie posagi, jakie są na świecie, a będę miała wszystkich konkurentów, jacy są na kuli ziemskiej.

Ciężko na tym świecie odpokutuje ten, kto wymyślił młode panny i duże posagi.

Pierwszy walc przetańczony, pierwszy romans przeczytany, pierwszy mężczyzna poznany, to tak zupełnie, jak pierwszy katar, pierwsza migrena i pierwszy ból zębów — pozostawiają one w pamięci, jak tamte w organiźmie, głębokie przekonanie o konieczności radykalnej kuracyi.

* * *

— Chciałbym mieć wąsy!

— Dlaczego?

— A no... wiedziałbym przynajmniej co jestem: chłopiec czy dziewczynka!

— A teraz to nie wiesz?

— Tego nawet mama nie wie! Zawsze mi mówi: Dziecko, dziecko... ja nie wiem, co z ciebie będzie!

* * *

## Iskry humoru.

*Stara panna (z westchnieniem).* Dziesięć lat życia dałabym za to, żebym mogła być o dwadzieścia lat młodszą!...

* * *

— Co ja mam robić z tym zegarkiem? noszę go w kieszeni, nie idzie; powieszę go nad łóżkiem — stoi; włożę go do kufra — idzie!

— Prosta rzecz: noś go w kufrze!

* * *

— Lutek! ile zębów ma człowiek dorosły?

— Czy ja wiem? moja mama ma aż dwa garnitury, a powiada, że oba do niczego!

* * *

— Proszę pana profesora... Wiśniewski mówi, że mnie zabije za to, że ja na niego skarżyłem!

— No... no! niech spróbuje... Przyjdź wtedy tylko do mnie, a ja mu już pokażę, po czemu łokieć.

* * *

— Pan masz potężne uszy... no!

— Prawda? ja zawsze mówię: moje uszy i pańska głowa, to by był osioł dopiero, co się zowie!

* * *

— Przepraszam... z panią nie możecie mówić, jest w negliżu:

*Wieśniak.* O... szkoda! a kiedyż wróci z tego Negliża?

* * *

*Szerokie piersi.*

— Popatrz się Józiu, ile ten jenerał ma orderów!

— Prawda! teraz to ja już wiem, dlaczego przy poborze do wojska patrzą, żeby żołnierz miał szerokie piersi.

* * *

## Reformy Stołypina.

Krzyczą wciąż na Stołypina,
Że zła jego władza.
A on przecież co godzina
Reformy wprowadza.

Chociaż rządzi staromodnie,
Na nowe sposoby:
Dawniej wieszał w dwa tygodnie,
Dziś wiesza w dwie doby.

Postępową chęć ujawnił,
Szybko mknąc do mety:
Do stryczka równouprawnił
Nawet i kobiety.

Chłopów wdzięczność sobie kupił
W swej społecznej pracy,
Bo ich dawniej kto chciał łupił,
Dziś tylko kozacy.

Chce im dać rządowe łany
Żyta i pszenicy,
By... grosz na ten cel zebrany,
Kradli czynownicy.

Praw wyborczych ordynacyę
Zmienił w reform tłumie,
By „sotni czarne" stacyę
Miały w owej Dumie.

Dla policyi sto tysięcy
Zakupił nahajek —
Jakichż reform można więcej
Żądać od stupajek?!

* * *

## Jasny argument.

Przysięgał ją kochać wielce,
Wieźć w miłości w niebną sferę,
Gdy mu rzekła: „Nie wiem tylko
Czy uczucia pańskie szczere?"

„Co za słowa!" — rzekł z zapałem
Patrząc jak w obrazek na nią,
„Czyż inaczej dziś klęczałbym
W nowych spodniach tu przed panią?"

* * *

## Oj! ten puder!

*(Z cyklu „Tyndy-ryndy").*

„Skąd wracasz mężu
O tak późnej porze?"
„Byłem na wiście
U pana Ludwika!"
„Byłeś na wiście??
Ja to w bajkę włożę!"
Krzyknęła z gniewem
Groźna magnifika,
A jako dowód
Że mężulek kłamie,
Wskazała pudrem
Obsypane ramię!!!

* * *

## Strachy na dorosłych.

— Proszę państwa, niech się państwo schowają, bo idzie — agent od maszyn do szycia!

* * *

## Dlaczego?

Grzela, cy ty nie wieś łocego to, jak państwo idom na śpacer, to pan paniom za rękę trzyma?

— A bo widzis, boi się, żeby mu casem nie uciekła.

## Szarada.

*Pierwsza,* to nazwa wielkiej rzeki,
Która do morza płynie.
*Druga* rozbrzmiewa w świat daleki;
Od niej człek nieraz ginie.
*Z całości* Polska słynną była,
Bo wnet pierzchały dzicze.
Dzisiaj, to carów cała siła
I — całe ich zdobycze.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 8-go grudnia.

**Rozwiązanie zagadki, zamieszczonej w numerze 46-ym:**

**KALEKA.**

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania:* pp. Ludkowski, L. Karol Środecki (pseudonim), Marya Kubowicz, Maksymilian Maliński i Galińska; *z prowincyi:* pp. Jan Trafanowski ze Stęszewa, Franciszek Chytry z Kobylina, Józef Gawrych z Młynkowa, Józef Szperkowski z Pożarowa, Aniela Wieczorek z Antonina; *ze Śląska:* pani Jadwiga Badura z Roździenia; *z Galicyi:* pp. Marya Zborowska z Andrychowa i Franciszek Lichwa z Pnikuta; *z obczyzny:* pani Zofia Dunajska z Berlina.

Nagrodę otrzymali pp. Maksymilian Maliński z Poznania, Franciszek Lichwa z Pnikuta i Zofia Dunajska z Berlina.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

# GADY.

## POWIEŚĆ Z XIV WIEKU.

Stańko wnet rozkaz wypełnił... Tłuścioch mlasnął językiem na miły widok półgarncówki, uśmiechnął się, jak dziewka do wieńca ślubnego, ręce wyciągnął, podkute nogi jeszcze więcej rozszerzył i mlamlić począł.

Ile jest zachwytu w marzeniach wyrostka, raz pierwszy, ze zrozumieniem rzeczy, na podwikę patrzącego; ile jest słodyczy w ostatniej kropli małmazyi, do pustego kieliszka spadającej — wszystko to człek on w spojrzenie oczu swych przelał, które pokrył słodkim lukrem upojenia.

Podana blaszanka zniknęła wnet w trzęsących się dłoniach smakosza, który dziób jej do ust przytknął, mięsistemi wargami otoczył i smoktać począł jako zgłodniałe ciele pierś swej macierzy. W miarę znikania płynu do góry flachę unosił, pochylając się ku tyłowi, aż grdyka na wierzch wyszła. „Lekleklek“ głos dziwny wydobył się z gardzieli pijaka, oczy przymknęły się, barwa twarzy z ponsowej w granat przeszła — wreszcie spełnił łyk ostatni, dziobem ząb uderzył, ramiona rozwarł, flachę na bok odrzucił, zadowolenia długie: „aaa!“ z głębi się wydobyło, jakby kto w puzon dmuchnął, jeno oczy przymknięte miał i mlaskał językiem, rytmicznie, głęboko oddychając. Pan Szamotulski i cały konny orszak jego uśmiechali się drwiąco, co widząc Wolffram von Salzbach, do Wincza się zwrócił i rzekł:

— Niech się wasza dostojność nie dziwi niezwykłemu wyrazowi twarzy brata naszego — do trunków nieprzyzwyczajon jest.

— Cóż będzie, gdy się przyzwyczai?... — pan Szamotulski się zaśmiał. — Ale jakże się wabi ten brat wasz?

— Johan Funtfig.

— Z auzońskiej ziemi, jako widzę, pochodzi... Czemże się trudni?

— Nie łatwo to zrozumieć takim, jak wy, rycerzom, do życia zakonnego nieprzywykłym. My, mnisi, krzyżem i mieczem wojujący, jesteśmy narażeni na pokusy różne, które wam, jako rycerzom świeckim nie tyle szkody przynieść mogą i grzechem mniejszym duszę obarczają, inna jest z nami, ślubującymi ubóstwo i czystość, gdy i tu złoto powabem zanęci i dziewka urodna pod nos się nawinie.

— *O ja, ja!...* — westchnął Johan von Funtfig.

— Brat nasz czuwania nad nami ma obowiązek święty — ciągnął Wolffram. — W strapieniu pocieszy, w upadku rozgrzeszy, a i nikt takiej, co on, mądrości nie posiada. Opowiem dostojności waszej sąd jego, iście salomonowy, którym na siebie uwagę starszyzny naszej zwrócił. Było to na zamku margrafa, podczas uczty biesiadnej, kiedy to kielichy chodzą nie leniwie i piosnki weselsze minzengerowie śpiewają, a krew, trunkiem podlana, w war się zamienia, ręce zaś chętniej szukają głowicy mieczów. Graf pewien, zamiast do pachołka, do frankońskiego księcia się zwrócił, prosząc go, by mu przyniósł wody kubek. Obruszony żądaniem tem książę: „Pocałuj psa w nos“ — rzekł mu na to. Graf się porwał i prync się porwał, a że każdy kamratów miał swoich — w niejednych już ręku broń błysnęła i nie obeszłoby się bez krwi chrześciańskiej przelania. Wtem brat Johan na stół skoczył, który wprawdzie z trzaskiem zawalił się pod nim, zastawę cenną i farfury wszystkie tłukąc, lecz miecze, groźnie wzniesione, zawisły na chwilę w powietrzu. — „Szlachetni rycerze, obrażeni słusznie na siebie — zawołał brat Johan — schowajcie miecze, a ja was pogodzę!“ — Brat Johan przez grono rycerskie lubiony był dla życia świątobliwego i wstrzemięźliwości swej jako już o tem dostojność wasza słyszałeś, więc wnet się podniósł gwar okrutny i krzyk: — „Schowajcie miecze! sąd otwarty!... brat Johan na trybunale zasiada!...“ *Nec Hercules, contra plures!* jeżeli wasza dostojność po łacinie rozumie. Miecze poszły do pochew, zielonem suknem stół zasłano, znalazł się i wizerunek Zbawiciela naszego, i obaj, przed chwilą groźni szermierze, woli rycerskiego grona poddali się i przed sądem nowego Salomona stanęli: — „Szlachetny grafie — ozwał się głos sędziego. — Prosiłeś-że, by ci dostojny książę kubek wody przyniósł?“ „Prosiłem!“ — graf odpowiedział. — „Dostojny książę! — do drugiego podsądnego brat Johan się zwrócił: — Kazałeś-że szlachetnemu grafowi psa w nos pocałować?“ — „Kazałem“ — prync odpowiedział. — Dostojny książę — ciągnął brat Johan — zechciej zadość prośbie szlachetnego grafa uczynić i przynieś mu wody kubek“. — Prync wyszedł i wrócił po chwili, żądany przedmiot grafowi przynosząc. Graf kubek do ręki wziął i wodę wypił. — „Slachetny grafie! — ozwał się znów brat Johan — prośbie twojej zadość się stało, zali nie słuszna jest, byś teraz żądania dostojnego księcia wypełnił i psa w nos ucałował?“ Była chwila ciszy i wielkiej grafa konsternacyi... Nagle, jak grom, śmiech buchnął... Odezwały się piszczałki, trąby, brzęki uderzanych kielichów, swawolne pieśni minsengerów... Nie do mieczów się brano, jeno do niewiast — i w pląs... Widzicie teraz z opowieści onej — kończył rycerz von Salzbach — jako żartem krotochwilnym a sądem salomonowym, brat Johan przelaniu krwi chrześcijańskiej przeszkodził...

— Wasza dostojność obiecała dać jeszcze sadła gęsiego — ozwał się nagle Salomon.

Szeroki śmiech zabrzmiał, nawet Wolffram wargi przekąsił, by nie prysnąć.

— Brat Johan chce schudnąć!... — odezwał się, zapanowawszy nad sobą.

— Słuchajcie zacni panowie — po chwili rzekł Szamotulski. — Czas wieczerzy i dla mnie przypada i potrosze już burczeć w żywocie zaczyna. Miałem właśnie zajechać do pana Floryana Szarego, herbu Koźle-Rogi; ze trzy pacierze zabawić tam, coś nie coś na ząb wziąć i dalej ku Jasińcowi pospieszyć dla obejrzenia pogranicznych załóg naszych. O staj kilkanaście jest pana Floryana siedziba, przyjmie was jako gości przygodnych, trutki nie da, napoi i nakarmi uczciwie... Jako że panowie niemiaszki, myślicie?...

Brat Johan zdradzał chętkę do usłuchania pana Szamotulskiego, ale rycerz von Salzbach głową z lekka poruszył i w ten ozwał się sens:

— Wierzym dostojności waszej, że pan Floryan uczciwie gości przygodnych przyjmie i trutki nie da w mięsiwie ni w wina dzbanie, ale ażeby rad był z takich jak my, przybyszów, o tem dostojność wasza niezgorzej od nas wie. Nie obejdzie się bez przymówek w stronę zakonu naszego rzucanych, których nam, jako rycerzom, nie łacno byłoby znieść, a jako mnichom, ślubującym pokorę, znieśćby wypadało; gdy zaś wino rozgrzeje krew, a folgę da językom już nieokiełznanym — przyjść może i do sfaru i słów nieobyczajnych, co dla nas niemiłe jest, jako czartu woda święcona. Nie masz zaś w Polszcze całej dworu ślacheckiego ni kmiecej chałup [illegible] braci a miłych przyjaciół widziano. W pogardzie jest zakon nasz, aby się wypełniły słowa Odkupiciela: „I będziecie prześladowani dla imienia mojego!“

— Ot, jak Panem Jezusem wykręcił — mruknął do siebie Wincz, a rycerz von Salzbach tak dalej rzecz swą prowadził:

— Jedź więc, dostojność wasza, do pana Floryana Szarego, herbu Koźle-Rogi, my zaś, jako cienie, przemkniem przez puszcz zarośle, nie nasuwając się oczom niechętnych, nie drażniąc nikogo niemiłą obecnością naszą, choć — wyznam otwarcie dostojności waszej — rad byłbym

krótką jeszcze chwilę przepędzić z takim, jakim wy jesteście, mężem, o którym z uznaniem i czcią wspominał niejeden raz wśród braci naszej sam Dytryk z Altenburgu, wielki marszałek zakonu.

Szamotulski poruszył się.

— Dytryk?...

— Mąż wojenny, rycerz bez skazy, z żalem mówiący nieraz, że w czasach obecnych zakon nasz nie posiada męża tej, co wy, miary.

— Zna mnie?... nie spotkaliśmy się z sobą ni razu.

— Są echa o was mówiące — pochylając się odpowiedział rycerz.

Krzaczaste brwi Szamotulskiego zbiegły się, powieki zamrużyły się lekko...

Dytryk z Altenburgu! marszałek wielki potężnego zakonu! wódz znakomity, między angielczyki i hiszpany z dzieł wojennych słynący ozowa się w sposób tak miły rycerzowi każdemu. A wżdy ambicyi ni kszty mieć nie potrzeba, by warg nieco nie odąć, a krwi nie kazać szybciej po żyłach pobiedz. Pan Szamotulski czuje, jak ciepła fala przez pierś się jego przelewa, uderza w serce, błyska w mózgu łechcącym dumy wizerunkiem...

Dytryk z Altenburgu!

Przez twarz pana Wińcza przebiega płomię, jakby odbicie zorzy dalekiej. Uśmiechnął się, pokręcił wąs — zagrał palcami na złotych guzach kulbaki i rzekł:

— Miło i mi czas przeszedł z tak godnym, jak wy, kawalerem. Na dwa pacierze do pana Szarego zajechać miałem, ale wzięła mnie chęć wpierw litanię z wami odmówić. Nie będzie i brat Johan narzekał na to, bo za dwornią moją pociąga wóz pakowny, na którym jaki taki przeciwko otyłości lek się znajdzie.

Skinął na pacholka.

— Rozlóż, wasze, ognisko na tej tam polanie... Widzisz?... Zdala tylko od krzewów a drzew sosnowych, bo silny wichr duje, ognia zaś nie powstrzymasz, gdy suchych igieł się imie. Dwie ćwierci baraniny na kozły wziąć i upiec, jako się należy.

Wnet roztasował się orszak pana poznańskiego, złożony z młodzi szlacheckiej, szukającej polerunku i nauki w sztuce wojennej na dworach możnych, jako też dworzan mniejszych i czeladzi, robiącej ład w obozowisku przygodnem. Gwarem wypełnił się las, konie parskać zaczęły i rozmowę między sobą wieść; krzesiwa zaczkały, sypnęły się iskry z krzemieni łupliwych a stuk toporków potrwożył ptactwo nocne. Po chwili zatrzeszczały jodeł i sosen barwiona, od dołu dmuchnął wiatr i rozwiał płaszcz płomienny. Na kozłach żelaznych zaskwirczały tłuste połcie baranie które brat Johan obwąchiwać wnet począł, a rycerz von Salzbach ukłonem jął dziękować Szamotulskiemu za zaszczyt, jaki mu wyświadczył, pozostając z nim w głuszy leśnej; zamieniono ukłony, podano prawice — i legli obok siebie mężowie dwaj na pościeli wilgotnem trawisku.

Po puszczy przechadzał się wiatr krokiem nierównym. Czasem oddychał piersią zmęczoną, zaledwie potrącając gałęzie drzew; targnął się w gniewie jakimś i uderzył o pierś dębu, o czoło jodły, a zadowoliwszy chwilowe podraźnienie swoje, długim szmerem po puszczy się przeszedł — i umilkł. Nagle zaskowytał, jakby się obudziła w nim myśl jakaś burzliwa; cisnął się na dęby i ramiona im wykręcał, szarpał zielone głowice sosen, z gwizdem przelatywał przez krzewy tarniowe, w lej potężny zwijał dym czarny ogniska i znów z sił opadał, szedł jeno pomruk głuchy, jak gromów dalekich echa omdlewające.

Wczesna listopadowa noc zapadła. W blaskach ruchomych płomieni migotały złote guzy ciemno-zielonej szuby pana Wińcza, w blaskach krzyżackiego pancerza odbijały się czerwone ognie stosu. Zapach baraniego tłuszczu rozchodził się w powietrzu, okapujące sadło skwierczało na węglach, brat Johan zajął miejsce kuchmistrza i jak się okazało, cale dobrze na sztuce onej znał się. Pomimo jednak zajęcia się baraniną, rozmawiających rycerzy z uwagi swej nie spuszczał i kiedy niekiedy słóweczko jakieś wtrącił. Dytryk Altenbergski nie schodził z myśli Szamotulskiemu.

— Słyszałem i ja coś nie coś o panu marszałku — z udaną obojętnością się odezwał; — i mnie też nieraz przychodziło na myśl, że wojenny mąż taki przydałby się teraz Polszcze naszej.

Radby was poznać pan marszałek i przy jakiej takiej okazyi do Poznania zjechać — ciągnął rzecz swoją Wolfram — ale w Polszcze waszej zagnieździło się pogaństwo teraz, co chrześcijańskiemu rycerzowi w smak pójść nie może.

Szamotulski się uniósł:

— Pogaństwo?...

Brat Johan, ze szpigulcem w ręku, zbliżył się do rozmawiających i wzdychać zaczął.

— Zali już Litwa ochrzczona? — rzucił Salzbach.

Brat Johan westchnął, ale to westchnienie podobniejsze było do głosu rury organowej.

— ...Zali małżonka Kazimierzowa — ciągnął krzyżak — nie poganina jest córą? Zali nie jest miłośniczką pląsów i zabaw wszetecznych? czy nie otacza się gronem młodzianków o włosach trefionych, wesołe piosnki pani swej śpiewających? W otoczeniu lutnistów i gędźbiarzy, przy dźwięku jeno piszczałek i dud, krakowskiemu pokazuje się ludowi, przebiega ulice w szatkach barwistych, a za nią tłumy zalotników i trefnisiów. A sojusz z Litwą — nie grzech-li to?... Przeciw komu on jest skierowany, jeżeli nie przeciwko tym, którzy krzyż Zbawiciela naszego w pogańskiej Gedymina ziemi chcą zatknąć? Dziwi się zawsze pan Dytryk Altenbergski, że po tak małym oporze, Wielkopolska łokciowemu królowi się poddała. Ale to mu nie przeszkadza, by *was* w wielkiem poważaniu miał a estymie.

— Bo cóż ja, gdy król rządzi — rzucił Szamotulski.

— Rządzi mały a wielki ulega, — wtrącił brat Johan.

— Nie taki on mały, jako wam się zdaleka widzi, — pan Wińcz na to.

— Nie dorównałby łokieć ręce, gdyby zamknąć się w pięść zechciała — niby niechcący wybiegło z ust brata Johana.

Szamotulski spojrzał na mówiącego.

— Dytryk powiadał nieraz, że Opatrzność pomyliła się w rządach swoich.

— Bracie Johanie! — głosem uwagi odezwał się von Salzbach... — zapominacie, że milczenie jest złotem.

Wińcz spojrzeniem badawczem spojrzał na obu — po chwili zwrócił się do Wolfframa i rzekł:

(Ciąg dalszy nastąpi.)



**Zwłoki Najprzewielebniejszego Ks. Arcybiskupa śp. Floryana Dr. Stablewskiego na katafalku w kościele katedralnym w Poznaniu dnia 28 listopada 1906.**

(Zdjęcie dla „Pracy" wykonane w zakładzie fotograficznym „Rubens", dawn. E. Mirska w Poznaniu przy placu Wilhelmowskim 3).